

NA SKALNEM PODHALU



KAZIMIERZ TETMAJER

NA SKALNEM  
PODHALU

III.

KRAKÓW  
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

---

KRAKÓW. — DRUK EUG. I Dr. KAZ. KOZIAŃSKICH

SOBEK JAWORCARZ  
JAKI HONOR MIAŁ



Za wydanie Sobka Jaworcarza nałożonych było dwadzieścia dukatów nagrody. Ale nigdy przynigdy byliby go nie chwycili, gdyby go jego honor nie zgubił.

Ścigali go dzień cały hajducy, strasznie zmęczony był. Odbiegł przecie ścigaczy, ale już ledwie dech łapał. Świeciło się w jakiejś hałupinie przy drodze w Harkłowej — wszedł.

Zastał babę, chłopą, troje dzieci, dwie dziewczki i chłopaka wyrostka; wieczerali.

Pana Boga pochwalił; powiada: — Dogoniłk sie drógami bez dzień, a i nie jadek nic, kiebyście mi krapke kwaśnicy dali, widzem, ze jécie, bo mie jaze pali na wnuku. A pote byk se ka lóg do rania.

Czy miał gazda wolę nocować go, czy nie — Sobek głową powałę wsparł — prosił go pięknie na ławie siadać, kwaśnicy pié, ile chce.

Choć Sobek broni, prócz ciupagi, przy sobie nie-miał, bo go z nagła zajęli, pozbierać się z leżenia nie miał czasu, poznał chłop, że to nie bądź jaki będzie włóczega. Odzienie miał dochodzone, spo-



niewierane, ale widno było: fajne. Co był, to był, bać się go chłop nie bał, wiedział, że mu nikt nie weźmie, bo niema co; biedna była chłopina. Daje tedy Sobkowi kwaśnicy, na szopę go spać zaprasza, ale mu też więcej nie świadczy.

Dziś przyszedł, jutro pójdzie, tyle się będą widzieli.

A Sobka aż podsadzało na ławie, bo tego był pewny, że jakby swoje imię powiedział, to tak się stanie, jakby zagrzmiało z pieca. On że to czternaście karczem żydowskich obrabował, on się z Zamku Orawskiego dwa razy wydostał, on siedmiu huzarów węgierskich pod Hradkiem od dziewcząt sam jeden, stołkiem drewnianym tylko zbrojny, wypędził, on czterem hajdukom orawskim i z łańcuszków i oków się wyrwał, targając je, jak szpagat; on wreszcie Żyda na Obidowej, który pieniądze miał w ziemi zakopane i zdradzić nie chciał, za brodę i za pejsy do drzewa przybił a karczmę podpalił, za co właśnie za jego wydanie nagrodę naznaczono; on wreszcie tyle koni i wołów ukradł, tylu ludzi pokaleczył i tyle najgłodniejszego zbójeckiej kondycyi mątu na świecie narobił, że słusznie mógł mniemać, iż jak powie swoje imię, to się tak stanie, jak żeby w izbie z pieca piorun trzasł.

Co zaś spojrział na jedną, albo na drugą dziewczynę, to go szydło żgało. I nie wytrzymał w końcu, choć wiedział, że po całej okolicy po wsiach



i po miastach o nim obębnowali i po kościołach z ambon księża wołali; nie wytrzymał i rzekł:

— Ja jest Sobek Jaworcarzów.

Taki honor bestyja miała.

Jak też powiedział — nie chybił. Chłop fajki do ust nie wraził, tylko rękę zatrzymał, babie łyżka w miskę tyrknęła, dziewczętom oczy w słup stały, a chłopak się porwał z miejsca i wyskoczył za drzwi, jakby go kto oparzył. Uciekł.

Wiedział Sobek co robi; strasznie rad był. Pozierał dookoła.

— Wyście Sobek Jaworcarz? — bąka po chwili chłop.

— Ja.

Już nie na szopę, ale go na pościel zapraszali spać, a sami na szopę iść chcieli, choć strasznie zimna była noc. Ale Sobek sobie w białej izbie posłać kazał — śmiało rozkazywał, prawo czuł — a cieszył się, że się przecie pod dachem wyśpi. Już go trzeci tydzień tropili.

Honorowy człowiek był i swój honor w ludziach przypuszczał. Nie wątpił on, że chłop o nagrodzie za jego wydanie wie, ale gardził myśleć o tem, że go wydać może.

— Przebaccie — rzekł zwyczajnie, wychodząc z izby czarnej.

— Z nicego — odpowiedział chłop i Sobek poszedł do białej izby, legł i zasnął.

A chłop duchem do wójta, wójt duchem po przy-

siężnych, po chłopów; zebrało się tego kupa, dwunastu, albo więcej, obstępować domu nie było co, w okienkach były kraty, weprała się hałastrą prosto do izby, gdzie Sobek Jaworcarz spał. Obyczajem zbójckim ciupagę on przy sobie położył, ale mu ją po cichu baba z pod ręki zawczasu uprzętnęła.

Kiedy ujrział światło, ludzi, sięgnął ku ciupadze — niema — skoczył z pościeli. Ale chytra baba groch pocichutku po podłodze rozsypała. Zaraz poślizgnął się i padł. Przysiedli go i związali.

Tak wzięli w Harkłowej za Nowym Targiem Sobka Jaworcarza z Brzegów, z pod samych Tatr, przed którego imieniem aż się, mówili, ziemia ugięła ze strachu, gdzie płynęły Wag, Orawa, Poprad i Dunajec. Przez zdradę chłopską i babską go wzięli. Szeroko słyńał.

Kiedy go na wóz wsadzać mieli, żeby do Nowego Targu do starostwa odwieźć, rzekł on do chłopca, co go zdradził:

— Cemuzes mi nie pedział, zes biédny, a tego świństwa, coś mie wej przezradziéł, nie robiéł? Byłbyk ci dał i telo i jesse więcyl, kielobyś fciał. Ale wam, kobiéto, coście mi grohu pod kyrpce nasuli, to jino do ocy napluć. Wydać — no, po wsiak i po miastak wołali, kazdy prawo miał, mógek i ja sie nie kwalić, cok za jeden! Ej, na mój dusiu! Kieby nie té postronki! Jescebyk tobom, jino byk cie do garzci hyciél, zafracona babo, lepi

tyk przysięznyk wyonacéł, jako ciupagom! No o-  
stańcie tu s Pane Boge témcase. Ale sie na was  
nie bede mścił, bo sie oreł na jastrzębiu jino wte  
mści, jakby go przy gnieździe spotkał. A wyście  
ta moim dzieciom nie nie zwyrządźali, a hoćby wto  
i fciał, to biéda, bo ta po mnie jajko nie w jednym  
miejscu ostało. Gniazd be po świecie z pół kopy,  
abo więcył. A i hawby moze béło jedno, abo i dwa,  
jino ze sie mi spać fciało.

Radby był kapelusza na bakier poprawił, ruszył  
się, tylko że ręce związane miał. Dziwował się wójt  
i przysięzny i wszyscy chłopi na tę fantazyę.

— Cłeku! Nie wiés, ka jedzies? — powiada  
wójt.

— Ka jade, wiém, a i to wiém, ze dziwno po-  
jade.

— Cemu?

— Bo mie konie bedom ciągly, a woły wiezly.

Taki jednak postrach jeszcze przed nim był, że  
go za tę obrazę nikt nie uderzył; owszem, popa-  
trzelili na niego chłopi z adoracyą.

I byliby go może puścili, ale się każdy jeden  
na drugiego oglądał i na nagrodę liczyli. Spodzie-  
wali się, że każdy coś dostanie. Banda też na wóz  
siedli.

A Sobek Jaworcarz, ledwie ruszyli, zaraz im za-  
śpiewał na poczekaniu:

Oćkało mie g.... ode nóg do głowy,

Tagek musiał jechać w Nowy Targ z Harklowej!...

Wściekali się, ale go bić nie śmieli; i tak jechali, klnąc mu, a on im w śpiewkach urągał. Ale nim dojechali do Nowego Targu, już mu nie mówili, podziwiając wewnątrz dusz jego fantazyę i geniusz poetycki. On też im przestał urągać, śpiewał, jakby nikogo przy nim nie było:

Ani tak nie idzie austryjacki Dónaj,  
Jak se hodziel drógom Jaworcarzów śuhaj!  
Ani sie tak gwiazdy na niebie nie świcom,  
Jak on patrzy śmiało popod siubienicom!...

— Ej miły mocny Boze! — myśleli chłopci. — Juz on wej nieborak sam sie pod siubienicom widzi!...

I byliby go puścili, bo im samym krzywdy nigdy żadnej nie zrobił, ale się spodziewali choć po dwa cwancygiery za niego w urzędzie dostać.

A choć o chłopie, który go zdradził, myśleli, że „psia wiara“, zazdrościli mu jednak dwudziestu dukatów i żalowali, że to nie do nich Pan Bóg Sobka przywiódł, że nie u nich się, kto jest, wyznał.

Tacy som jest ludzie.

Przywieźli go do Nowego Targu, odebrali go w urzędzie, do Nowego Sącza posłali. No i dobrze nie bardzo, dostał Sobek Jaworcarz dwadzieścia lat kryminału.

Bo jak tam jedno do drugiego, tu pokradł, tam pobił, karczmę spalił, wyszło jedno za drugim.

Jak mu wzieni wycytować: co i ka, widziało się, że do wiecora nie skońcom. Telo tego béło.

No i dostał Sobek dwadzieścia lat kryminału. Jeszcze i to ludzie mówili: nie najgorzej — bo mógł dostać dwadzieścia dwa, albo i trzy. Ale w pierwszym dniu, czy ci powiedzą dwadzieścia lat, czy dwadzieścia trzy, to tam już wielkiej różnicy nie robi. Choćby ci i pięćdziesiąt lat powiedzieli. Tylko jak ci wsują na całe życie — ę, to już źle. Chłop miał czasem sześćdziesiąt lat, powiedzieli mu: będziesz dwadzieścia lat siedział — ej, to się ta prawda w głowę podrapał, no, ale ta jeszcze było, jako było. Ale dożywotni areszt — o, to już cała biéda. Choćbys do osiemdziesięci roków miał, kiedy ci powiedzą: na całe życie: — to tak, jakby ci na miejscu głowę w trumnę wtusili.

A Sobkowi było dopiero trzydzieści lat, na to se myślał: dyć hojbyk i nie uciók, to ta jesse taki nostarsy nie wyńde.

Ale on nie wątpił o sobie.

Zamknęli go we Wiśnickim Zamku.

Ej! Wiśnic!

Koślowie, Koślowie! uzyliście dobra!

Teroz sie wam świcom na Wiśnicu ziobra!

- dobrze jest powiedziane, bo kogo tam zaparli, choćby był masny, jak niedźwiedź w jesieni, mógł

se rachować palcem zebra: jedno, dwa, trzi, kielo ik ta miał. Nie zmylił się. Matka ci hań mléka na miske nie nalála, ani grul z omastom nie wsuła.

Ale Sobek se nie markocił. Wiśnic nie Orawski Zamek, a on i haństela wyseł.

Jak zrobił? Kratę wypiłował utajonym pilnikiem i skoczył. Kielo ta leciał to leciał, ale żywy spadł.

On wiedział, że żywy doleci i to go wej zratoowało. Bo to trza wiedzieć: kie chłop ufność straci, wiare do siebie, pocnie medytować, ozmyślować: przódzi kark skręci, jako ten nogę zwichnie, co śmiało przed siebie skoczy. Niema lepszych skrzydeł, jak śmiałość — z dawna starzy ludzie mawiali.

Tak też i on teraz myślał, Sobek Jaworcarz. Kiedy go zamknęli w kaźni, to on sobie śpiewał:

Zamkli ci mie, zamkli, wartujom mie mocki,  
nie mi haw nie trzeba, ino ciémnej nocki!

\* \* \*

Kiedy Sobka zaparli w areszcie na Wiśniczu, dał on się zaraz poznać, kielo stoi.

Przychodzi raz ku niemu jakiś starszy dozorca — może to było na piąty dzień, albo na szósty po przybyciu Sobkowem — z wielkim krzykiem, że Sobek kaźni nie zamiótł i porządków w niej nie zrobił, kiedy na niego wypadła kolej. Chłop był

ten dozorca tak wysoki, że go więźniowie nazywali: wieża. Jeżeli Sobek pod powałę sięgał, to tenby był wnet dachu głową dojechał. Wyzywa i wyzywa, krzyczy: Sobek słucha — nie. Nakoniec kiedy mu już tego krzyku dość było, tak, jak stał, podniósł nogę, zamachnął, i pac kyrpcem w pysk urzędnika. Ani nie drgnął, tylko mu noga poszła wyżej głowy, jak na zawiasach. Telo zgrabny bét.

Urzędnik buch na ziemię i krew mu się nosem puściła. Okuli Sobka w kajdany na trzy tygodnie. Ale już więcej izby nie zamiatał i porządków w niej nie robił. Wyzwolił się.

• I to mu tak zeszło w tem więzieniu: pierwszych dni kilka na poznanomieniu się z towarzyszami i obyczajem więziennym, a potem na myśleniu, kiedy mu też kajdany zdejmą, bo strasznie ciężkie i ciasne były. Przez te całe trzy tygodnie mało co w nich oko zamknął; nie dało.

Wtedy opowiadał swoim towarzyszom różne historye z życia zbójników i ze swego życia. Górale, którzy znali wiele z nich, słuchali z tą satysfakcją z jaką się słucha znanych, a zdumiewających i podziwu godnych opowiadań. Potakiwali głowami i wypowiedzeniem wielu: „Haj, haj!“, „Hej, hej!“ Inni słuchali z otwartymi ustami, a sława górali w ogólności, a Sobka szczególnie, rosła w ich duszach od dnia do dnia, od nocy do nocy. Bo Sobek umiał zawsze swoją własną osobę w słoń-

cu imponujących, albo nadzwyczajnych czynów postawić. Przy nikim on mały nie był, nawet przy nieporównanym Janosiku nie. A najchętniej opowiadał o dowodach swej siły i trwodze, jaką wzniecał, lub jak go z powodu jego rozumu, wysokiego wykształcenia, wyjątkowych talentów: podziwiano i czczono.

Opowiadał więc naprzykład, jak zimy, ciężkie zwykle dla zbójników, przepędzał. W lecie mu grało. Przespał się gdzieś, w lesie, na szopie, gdzie w polanie, w źlebie wreszcie na jakim mchu, albo na płasience trawiastej: ciepło było. Ale w zimie było gorzej.

\*Toż to zbójnicy ponieważ radzi się zimowali u gazdów; w rzeczy szli za pachołków służyć.

Niek cie Bóg broni takiemu pachołkowi co na despet zwyrządzać! Dałbyj se! hej! Ténby ci 'podziękował, coby ci trzonowe zęby drugie urosły!

Tak też i Sobek Jaworcarz poszedł był na jedną zimę do Folfosa w Witowie za pachołka.

Ale ze to jakisi leń! — myślał Folfos, co go przyjął. — Lezy ino na piecu, a robić, pytoj Boze! nie kce nic!

Folfos był gazda hruby, ale sobie myśli: Hej, kie ty nic, to i jo nic. Ta lez!

Nie dawał ino bryję jałową owsianą — rzeke:

---

\* Autentyczne góralskie opowiadanie przystosowane do tematu.



ta sie rusys! Ale nic, Jaworcarz na piecu leży, a owsianą bryję je; nie ruszył się.

Folfos by był wnet innego kijem wyrzezał i z chałupy wypędził, ale się tu cosi bał trochę. Pacholek był pod powałę. I tak zeszła zima.

Skoro przyszła wiosna, ruszył się Sobek. Jednego dnia — niema pachotka.

Folfos orał w Beskidzie od Orawy tłok, trójką byczkami.

Sobek przychodzi ku niemu i gwarzy: — Gazzo, to wam źle idzie! Bycki wyprząc i puścić na pase na młake, hej, a pude ja — sprógować...

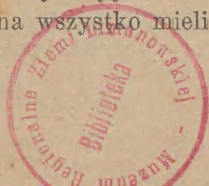
I poszedł. Wziął za klucz w kolcach i orali. Jeden zagon, drugi! E! Przy trzecim stracił Folfos i czapkę, ale nie było jej czasu wziąć z pod skiby.

Wtedy się Folfos domyślił dobrze, kogo karmił jałową bryją przez zimę. Ale już było nieskoro.

Poszedł pacholek, co za trzy byczki orał, w las, ku Orawie. Dzień, dwa mija — nic. Zapomniał Folfos.

E, przyszli w lecie, w prawe południe. Było ich czterech. Zabrali do imentu, gdzie co było. A samego Folfosa, choć tam baby jajęzały nad nim, złapali, złali mu wrzecem sadłem goły brzuch. Ino że mu tak powiedział Sobek, kiedy odchodził: — Owce mas, rznij! A owijaj sie skórami, to sie wygois. To za twoje bryje!

Zbójnicy ta na wszystko mieli sposób. I już go



więcej Folfos nie widział, ani on Folfosa. Nie był jeden drugiego ciekawy.

Inną zimę, coś we dwa lata później, inaczej Sobek spędził. Zasiadł w Zakopanem pod reglami, na Buńdówkach, na mrażnicy przy Samkowych owcach. Był tam, jak w twierdzy, bo się mrażnica robiła z całych smreków ściętych, nieokrzęsanych z gałęzi. A przy nim się tam obsiadła jego kochanka, Zoślanka, ze Zakopanego.

\*Sobek był chłop do wszystkiego: mówił na książce, jak nic, a na gajdach grał, co cud! I ludzie go mieli strasznie za co. Kościoły były precz, to w niedziele schodzili się do Sobka tam na Buńdówki.

Izba była wielka, piec przykryli chustą i było. Sobek się oblókł w długą po pięty Zojscyną kosulę wziął książkę do garści i mówił na niej głośno nod piecem, a ludzie za nim.

Baby klektały, aż gielcało po izbie.

Śpiewali piosneczki i pieśni nabożne z książki, a kiedy się już to nabożeństwo skończyło, to jedli i pili.

E! bo hań u Sobka nie dostał odpustu nikt, jak nie przyniósł gorzałki w dzbanku, spérki, albo i masła kruzlika.

Wiedzieli już o tem wszyscy, to nieśli, co kto miał, a szli.

Kiedy się już najedli i napili, to zaś tańczyli.

Pierwszy zawsze wychodził ze swoją Zoślanką

Sobek; a kiedy się oni dość unosili, Sobek siadał na ławę, brał dudy i grał, a ludzie tańczyli.

Nieraz do wtorku to nabożeństwo dociągało u Sobka. I niejeden gazda przyszedł z tego odpustu łysy do domu. Bo Sobek nie żartował: jenoby mu tam był który do Zoślanki zéznął, brał za huncfuty,, za łeb i peu! ś nim w pole, a włosy zostały w garści.

Ten się już żaden nie wracał do izby wygwarać, tylko szedł pomału do domu, a macał się po łbie.

Nie było po co, bo Sobek żartów nie miał; ale tam gniewu nie było — na drugą niedzielę przyszedł.

Na wiosnę odmierzał Sobek Zoślance płótna na spodnice w lesie od smreka do smreka. To był ryf!\*\*\*

I poszedł w las.

Tak się zimował Sobek Jaworecz hoćkie hoćkany.

\* \* \*

Nakoniec go odkuli i co się nie zrobiło.

Przychodzi jeden taki młody oficerek, więźniowie właśnie na dziedzińcu byli, mur dookoła wysoki, i powiada do Sobka: — Jaworecz! Prawda to, że ty umiesz po murze biegać?

---

\* Również autentyczne przystosowane opowiadanie aż do gwiazdek.

— Prawda! Cozbyk nie umiał! — odpowiada Sobek.

— Ile kroków zrobisz?

— Kielo fcem, hoćby i śtyry.

— Wyskoczyłbyś na ten mur?

— Na tén? Ej nie, nie wyskocem.

— A wyleciałbyś?

— Krokami? Wylecem.

Zamyślił się oficerek chwilę, ale to młode było, ciekawe, powiada: — Dasz słowo, że nie uciekniesz jak wylecisz?

Sobek ani się nie zawahał: — Dam! — powiada.

Kupa przecie ludzi koło niego stała: Lachy, Rusiny, Zagórzanie, Górale — przed tymi się pokazać, tych w dumę wzbić — a i żołnierzy było dookoła pełno.

— Słowo honoru? Wiesz co honor? — pyta się jeszcze oficerek.

— Honor telo znacy, co honor, wiem — powiada Sobek. — Byłek u księży Pijarów w Podoleńcu cosi ze dwa roki i po łacinie mie ucyli. Miałek księdze ostać, ino sie ta cosi kańsi stało, co jek haw, hoćjek ta i tak msów dość naodprawiał na Buńdówkak w Zakopaném. Nie ucieknem.

— No to leć!

Rozstąpili się ludzie Sobkowi, rozpędził się, skoczył na sążeń wysoko, potem raz, dwa, trzy kroki zrobił, że się tylko ludziom po oczach migło, stanął na murze.

Oniemieli ludzie z podziwu. A Sobek stał na murze i patrzył w świat.

Wszystkim biły serca w piersiach. W tej jednej chwili sto myśli leciało przez głowę skazańców. Mógł uciec. Poza murem nie pilnował nikt. Takiego latawca nie dogoniłby nikt. Mógł uciec, gdzie chciał, w góry, na Węgry, gdzie chciał. Był wolny.

Sobek stał i patrzył w świat. Był wolny. Słońce jaskrawo zapadało na niebie.

— Zeskocz! — krzyknął z dołu oficer.

Sobek obrócił się ku niemu i stał na murze.

— Słowo! — krzyczał oficer, czerwony z niepokoju i strachu; samby był więźnia jak umyślnie wypuścić!...

— Wiém — odrzekł Sobek Jaworczarz i zeskoczył na dół pomiędzy więźniów.

Zakołysał się koło niego szmer tłumionych wykrzyków i słów.

On zaś stał pośród ludzi, jakby zalsniony tem jaskrawem słońcem, które tam za murem za krawędz ziemi zapadało. Oficer uspokojony i kontent, ręką go po ramieniu klepał, mówił: „Dzielny chłop! Tęgi chłop!“ Ludzie pokrzykiwali z podziwu i nad cudownym czynem zręczności, i nad tem jeszcze więcej, że Sobek napowrót w więzienny dziedziniec zeskoczył; on zaś nie słyszał nic. Usłyszał dopiero te słowa:

— Dawno siedzi?

— Miesiąc.

— Wiele mu dali?

— Dwadzieścia lat.

— I nie ucik?!

Sobek obejrzał się ku mówiącemu. Mały, sietniakowaty chłop, w górnicę odziany, jaką koło Gdowa noszą, patrzył na niego blademi oczyma z wyrazem niesłychanie wzgardliwego zdumienia; patrzył na niego, jak na człowieka, którego głupocie trzeba się aż dziwić, a którym, dla tej niezmiernej głupoty, nie można nie pogardzać. Sobek Jaworecz zapatrzył się w oczy sietniakowatego chłopca z pod Gdowa.

Obstąpili go górale, co na Wiśniczu siedzieli.

— Sobek! Aleś hłop!

— Tegoby i Horny Kośla nieboscyk nie zdołał!

— Ani niwtory!

— Som pon oficyr gębe ozwieźli na kwile!

— Moze ci co i podarujom z roków za tén štuke!

— Nie widział tu jesse nik nic takiego!

— Hej! Kiezby tys?!

— Som ka jest tacy ludzie, jako u nas? Co?

— Hej! Nima to, jako my, z pod hól!

— Ej! ta i u nos jest je ka drugi taki ku Sobkowi?

Otoczyli go kółem; było ich pięciu, czy sześciu, złodzieje i zbójnicy. Dumni byli z Sobka.

— Bělaby s nas ś nim banda! — powiada je-

den Kościeliszczanin zbójnik do drugiego Kościeliszczanina zbójnika.

— Ej wiera! Bělaby!

— Ja myślał, że u nas w Kościeliskak nolepse hłopy!

— E, ono sie i ka inéndyj trefi. Dyj i Janosik nie był z Kościelisk, ba skądsi ze Spisa.

— Wy! Kościeliscanie! A Walcaki u nas w Zakopanym?! Mijałków Jendrek...

— A Nowobilski Walek? Podbrzyźni? z Białki?

— E! W Kościeliskak...

\* \* \*

Ciemna noc była: wszyscy spali. Oko wykól, na niebie chmury czarne, nie widać światu nic. Deszcz aż huczał, lić straszna. Czarno w kaźni, tylko Sobek widział dwoje oczu, patrzących weń, sietniakowatego chłopa z pod Gdowa. Mordowały go, gdzie się obrócił, patrzyły na niego mocne, wyraźne, uparte.

Sobek się ich wstydział, teraz się już ich i bał.

Chłop siedział w innem skrzydle, na drugim końcu gmachu, pewnie spał teraz na pryczy, i oczy miał zamknięte, a one tu, przez mury i dziedzińce patrzyły w Sobkową duszę. Kureczyła się ona i wiła pod ich promieniem, kryła się, a uciec nie mogła.

Powstawało ciało wściekłe, złe, rozżarte, zrozczone, przeciw duszy.

— Coś ty mi uczyniła?! — jęczało. — Coś ty mi uczyniła?!

Nozdrza, nozdrza, które pociągnęły już wolnego powietrza ze świata; oczy, które już poszły poza mur, w świat: jakoby zębów dostawały i gryzły i szarpały duszę Sobkową. Dwie blade, wyraźne, uparte źrenice lacha z pod Gdowa topiły się w nią coraz głębiej i głębiej.

Był tam! na murze!... Jeden skok!... Wiatrby go nie dopędził!... Terazby już był u węgierskiej granicy.

Zdawało się Sobkowi, że mu coś śmiga koło uszu, jakby jego ciupaga własna, okręcona nad głową, puszczone w szalony pęd wirujący z siły, z ochoty, z krwi! Tam, tam, w lesie gdzieś, pod Pośrednim Wierchem, albo Dziumbirem, jak rysie przyczajone, siedzą jego towarzysze, bracia. Długowłosey ogromny Jano Sliva z Vihodnej, Jędrak Migac z Bustryku, Józef Papież z pod Babiej Góry, Józef Stanik z Kościelisk, Wawrzek Hawraniec z Podspadów. Tam oni siedzą koło watry i śpiewają półgłosem groźnymi na czarnodunajską nutę zbójecki marsz:

Hej! idem w las — piórko sie mi migoce!

Hej! idem w las — dudni ziemia, kie kroczę!

Ka wywinem ciupazeckom — krew cérwonom wytocę!

Ka obyrtne siekiéreckom — krew mi z pod nóg  
[bulkoce!]



Ciemnińska noc — ogień lasem przėswięca!

Ciemnińska noc — złe sie złemu zalęca!

Na polanie popod jedle — watra w lesie sie pali;

Cy sie grzejom dziwozony — cy jom carci skrzėsali?

„Ty mlady brat — ty sa s nami towarzis!

Jak padnie ci — budzies cironom ziemie gryz,

A jak padnie — talarkami, dukotami budzies sial.

Na kazdy dzien freireęku — kohaneęku budzies miał!

Hej bratowie! — ja sa ku wam zwerbuję!

Nie płaccie mi — kohanecki leluje!

Nie płaccie mi, siostry moje — jabłonecki bielęćkie!

Nie pładze mi, matko ojce — gołabecki siwięćkie!

Nie płaccie mi — jo se ide zbijać, kraść!

Za dak mi las — za posłanie mokwa, chraść!

Jak mi padnie talorami — dukotami bedem sial!

A jak padnie siubienicom — budzie se mnom wiater hwiał!

Tak oni tam śpięwają półgłosem pieśń, o której nikt nie wie, kiedy i kto ją ułożył, pieśń, od której jodły się chwieją i orły zrywają się śpiące z konarów i szumią skrzydłami w cięmności, ślepe, gniewne i przerażone. Tak śpięwają tam Śliva z Liptowa, Papież z pod Babiej Góry, Stanik z Kościelisk, Hawraniec ze Spiża, Migac z Bustryku z Podhala — tylko im grać na kobzie nie ma kto, bo on, Sobek Jaworcarz, na Wiśniczu. Na Wiśni-

czu — on, o którym chłopi mówili: kogo jako kogo, capu dzikiego skorzej za racie do garzei hycis, jako coby Jaworcarzowego Sobka mieli kie dostać!... — On, o którym dziewczki wyzdajały śpiewankę:

Zaplątał się sokół w babioletniej sieci,  
Jaworcarzów Sobuś siedem bram przeleci!  
Splątały sokoły w babiém lecie skrzydła,  
Jaworcarzów Sobuś nie da sie wziąć nigdy!

On, o którym też dziewczki rady śpiewywały:

Śnie mój, śnie kohany, cliwo mi przez tobie,  
Kie sie bez dzień cały nahodze, narobie!  
Śnie mój, śnie kohany, uciekojze w pole!  
Idzie Sobuś z lasa, jo go od cie wole!...

W oczy mu lunęły góry, jak grad nagły na wiosnę, z za grani wydarty. Tu się upłaz zieleni, tam woda gra w stawie, tam owce beczą, bielą się turlikami dzwonią, spizaki, turliki, kłapacze: wszystko dźwięczy, dzwoni, rozbrzmiewa po polanach. Tam juhaski śpiewają, tam juhasi, tam któraś wyska z za wierchu: eeee — he — heu!... tam jej któryś odpowiada z pod turni: hoba — hop!... Tam na kobzach, na gęślach, na piszczałkach wierzbowych, na długich, daleko brzmią-

cych trombitach grają — juhasi, pasterze, wolarze. Tu w szalasie ogień wre: chłopak piętami drobnego krzesze, aż iskry w dach biją. Przytupnął, zaśpiewał:

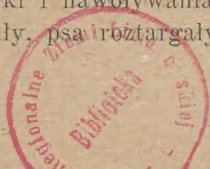
Cy jo hłopiec nie młody?  
Cy jo niémom urody?  
Siwe ocka, corne brwi!  
Pojdze, dziewce, bo mie mgli!

Piętą w glinę ubitą, w ziem, a któraś tam dziewczka z pod ściany, z kąta:

A jo tobie rada mom,  
Co mie pytos, to ci dom,  
Cy barana, cyj koze,  
Cy sie sama połoze...

Tylko iskry biją w dach, a gęśle brzęczą, jakby się w nich carci okocili!

Tam o jesieni kobiety len na boisku w szopie rafiają, śpiewają długie pieśni miłosne, tak też i w zimie przy warsztacie płóciennym. Starzy gazdowie fajki kurzą, opowieści prawią, syczące w ogniu dusze czyścicowe zażegnują. Wilki od lasu wyją, psy im odpowiadają z pod chałup, nagle w nocy niespodzianie hałas, ujadanie, jęk, rozpaczliwe krzyki i nawoływania: wilki się milczkiem podkradły, psa roztargały, pod oborę pod-



kopują. Dopiero z czem kto może: ten ze sajtą płonąca, ten z widłami żelaznemi, który z ciupa-gą, który z flintą, który z cepami, z czem kto może — na pomoc sąsiadowi! Bitka, psy od sąsia-dów co śmielsze, wielkie liptowskie z kolezastemi obrożami, obces ku wilkom, cepy grzmia, ciupa-gi śmigają, już i baby ta z sajtą, ta z szczypą smol-ną, ta z kagankiem z drzwi, z okien świecą, tu chłop wilka widłami przebódl, w górę go podniósł i rznął o ziemię, tam wilk chłopu do gardła, a pies na nim jedzie, żre w kark, z grzbietu mięso wy-dziera. Staraszony, zdeptany śnieg, pobite wilki, pozagryzane psy, pokaleczonych trochę i ludzi — cicha noc gwiazdzista ponad góry, tylko znowu z daleka słycać wycie, a po chwili po chałupach znowu warsztat płócienny fyrczy i zaśpiewa która Zosia, albo Marysia:

Salala rybecka, salala za wodom,  
Ale jo nie bedem, hłopcyno, za tobem!...  
Salala rybecka wodom za rybkami,  
Ale jo nie bedem za Zakopianami!...

cieniutko, wysoko, ponętnie, aż się serce w czło-wieku rwie i wydziera.

Rwie się i wydziera serce w Sobku Jaworcarzu. Wolny był, wolny mógł być! Jeden skok!... I był-by tam...

Wtedy się Sobkowi Jaworcarzowi wydało, że

mógłby skoczyć od Wiśnicza po graniczne Karpaty, od Tatr poza Liptowskie góry!... Wtedy mu się zdawało, że popłynąłby, śmignąłby przez powietrze łukiem, jak idzie łuk tęczy przez niebo... Wtedy...

Chwycił zębami kratę, począł ją gryźć. Piana z krwią poczęła mu się toczyć z pokaleczonych ust. Głową uderzył w kratę, aż mu skóra popękała na niej i włosy krwią ociekły... rękoma ją szarpał. — Takikek jako oriel haw! Zaparliście mie! — szeptał. — A ja mógek wyńjść! A ja mógek ucieć!...

Mógł!... mógł!...

Rozpacz wściekła, dzika, waryacka rozpacz zgięła Sobkowi krzyż w kabłąk, skróciła mu ramiona, zwęzliła palce i kraty pękły. Zaparł się, targnął — wyłamał je z okna. Wówczas osłabił na chwilę. Zdawało mu się, że mu przez okno bez krat lecą do kaźni całe Tatry i wszystkie chmury z nieba:

Nie płaccie mi — jo se ide zbijać, kraś!

Za dak mi las — za posłanie mokwa, chraś!

grzmiało z wiatrem w okno.

Sobek spojrział w dół. Wysoko było na dwa piętra, na dole kamieniami brukowany dziedzińec. Wydało mu się, że kamienie pod jego oknem ożyły — czekają żywe, spokojne. Czekają. Wzdrygnął się.

Rozpacz, tęsknota, radość, szal, poczęły się w nim łamać ze strachem. Ciało wściekle, rozżarte przed chwilą ciało, poczęło drzeć, wstrzymywać duszę; uniewalniać ją. Sobek zawisł w oknie.

I dziw! — wszystko: góry, towarzysze, swój kraj — poczęły mu ustępować wstecz w ciemność nocną, cofać się, maleć... Zląkł się — nad wszystko się zląkł...

Wtedy blade, aż do pogardy zdziwione oczy sietniakowatego chłopca z pod Gdowa zaświeciły Sobkowi Jaworcarzowi wprost w twarz. Hej!... Rzucił głową, wydźwignął się na rękę, wysunął nogi i skoczył. Zabił się.

Taki honor miał.

O WALKU SIETNIAKU





Walek Prascularz ze Zębu sietniak był. Głowę miał wielką, jak kadź, na niej włosy rzadkie i żółte, a stojące jak szczeć. Polany miał na tej głowie, bo włosy kępkami rosły, a kępkami nie. Co tam do spacerowania było, to się mogło do słońka grzać, kiedy chciało, tem więcej, że Walek kapelusza nie nosił. Może go i nigdy nie miał.

Gęba wielka, opuchła, blada, jak u topielca, oczy wyłupione na wierzch, niebieskobiałe, jak u ryby zaśniętej, wargi wywinięte, grube, obwisłe, czerwonożółte, z warg ciekło. Nos jakiś zarośnięty we środku. Pod gardłem wól, a nie to ino jeden, ale że dwa. Jeden na drugim, jak gołąbki na wiosnę.

Całe ciało pokrzywione, pokręcone, pogarbione, połamane — nicbyś tam prostego nie uświadczył, chyba kij, co się na nim Walek podpierał. Ładny był — nie było co powiedzieć. Potwora i potwora. A jeszcze się jękał, ledwie krztusił.

Było mu siedm lat, pomiarkowali rodzice, co to będzie za parobek, że tęgi, i wygnali to z domu.

Wrócił się. Wybili. Poszedł i znowu wrócił. Wybili znowu. Znowu poszedł i znowu wrócił. Ej, dobili tak, że czysto zdrętwiał. Kawałka skóry na nim całej nie było. Sprzecinali gałęziami het. Naprzódzi go bił ino ojciec, potem go bili ojciec i matka, za trzecim razem wraz i rodzice i obaj bracia i siostra. Bili, bili — i już nie wrócił. Wyleżał za ogrodem pół dnia, w smreczkach pół nocy i poszedł. Lazł, lazł, aż wyłaził, że mu gęsi dali paść. Paś, gdzieś w Skrzypnem, potem w Podczerwiennem, w Ratułowie... Pasał, a jak mu się co niepowiodło, bili i wypędzali.

Wędrował, aż znowu gęsi do pasienia znalazł. Nie był już taki zupełnie do niczego — ze sietniaków był najfajniejszy.

Tak wyżył dziesięć lat, już mu ich było siedmnaście.

Paś w lecie, we worek opasterzony, w zimie zebrał, w lecie i w zimie w płóciennych gaciach chodził, a nienajedzony był jeszcze nigdy. Mrzygłód był i takie było jego przeznaczenie.

Myślał on sobie różne rzeczy. Myślał: Bez co to tys to, co jo jest taki? Co jek komu zrobił i co jek winowaty, co jo je jest taki?... Bo on dobrze musiał snadź wiedzieć: jaki był.

Raz — służył on wtedy u Słodyczków w Ostryszu — widział, że się młody Słodyczka Jędrus, śliczny parobek, długo prezierał w prezieràdelku. Wziął on je potem, kiedy Jędrus wyszedł do

pola, z okna, i począł się sam sobie przyglądać. Potwora jek — pomyślał i westchnął.

Była tam dziewczyna także śliczna, siostra Jędrusiowa, Agnisia. Ona pasła krowy, on gęsi. Miała ze czternaście lat. Pasterze krówsey piekli raz ziemniaki i Walek się nabiżył, że mu tam przecie rzucą jaki, bo on z chałupy nie dostawał od gądziny nigdy nic, dobrze jak jeszcze na czezo nie wypędzał z chlewika rano. Podszedł ku pasterzom, było ich kilkoro, chłopcy i dziewczęta, siedzi i patrzy. To patrzy na ziemniaki, co się pieką, to na Agnisię, co je biczyskiem przewracała w węglach.

Jedli, a on patrzył i łykał. Zbliżyć się nie śmiał, siedział tak o dwa kroki od innych. Nakoniec Agnisia wyciągnęła ku niemu rękę z ziemniakiem i mówi: — Ne! — a ten się pochylił ku niej więcej, niż trzeba było, i chuchnęło mu się przy tem z gardła. Czy chciał dmuchnąć na ziemniak zawczasu, że gorący, czy co... A Agnisia rzuciła ziemniak i cofnęła się w tył.

— Cos sie stało? — jęknął.

— Bo ci śmierdzi z gęby, co raty! — odpowiedziała.

Nie podniósł ziemniaka, odszedł. Zabrali się niedługo i pasterze z krowami, on został jeszcze. Kiedy się oddalili, zbliżył się ku popielisku, szuka, nie znalazł nic, tylko ten ziemniak, który Agnisia rzuciła. Podniósł. W tem patrzy: idze pies. Co zamy-

ślał, dość, że psa zawołał. Wyciąga rękę z ziemniakiem ku niemu i woła: — Na tu! na tu! — Stał pies. Wabi psa ziemniakiem, przywabił ku sobie. Daje mu ziemniak niby, a chyli się ku niemu i chuchnął mu w nozdrza. Pies kichnął, głową skreślił i spojrział jednym okiem na niego.

— O! to musi śmierdzieć fest! — pomyślał Walek i zadumał się. A w zadumaniu opuścił rękę z ziemniakiem po sobie i pies wyjął mu ziemniak z palców i zjadł. Dopiero Walek w złość — łap za kamień ze ziemi. Pies w nogi i tyle widział jego i ziemniak, tylko się przekonał dokumentnie, że aż pies kicha.

No, już się też więcej ku nikomu z gębą nie pchał.

I tak się zrobiło, jakby zaczął gnić. Lały mu się jakieś wody z uszu, z nosa, z gęby, nawet z oczu, nagłowiesię porobiły bolaki, wrzody. „Walek kopy siana na polanak ustawio“ — śmiały się dzieci. Po całym ciele się też wrzody pękające porobiły, cały był mokry.

Przychodzi w jedno rano Słodyczkula, gaździ-  
na, i powiada mu, a głos miała, jak to często między Podhalanki, ostry, jak bicz: — Bier sie, jus nie bees paść gęsi.

— Nié?

— Mom ci dwa razyj godać? — świsnęła mu nad uchem głosem jak biczem.

Walek już dobrze wiedział, że się pytać dużo

nie trza, bo w leb biją, w brzuch kopią, w plecy popychają, noga, to noga, a kula drewniana, to kula. Poszedł. Idąc myślał. Juści nie bez co inego wygnali, ino bez té rany. Hej! To ci dopiero śmierdzieć musi!... Bo on sam to i nie tak wiele czuł za-  
rośniętym nosem.

Idzie i wyszedł na taki brzeżek nad potokiem, wysoki, turnisty, a w potoku w dole kamienie nastyrmane, ostre głązy, jeden na drugim. Patrzy dookoła się — majowy był dzień, jasny. W polu robili ludzie, krzatali się, śpiewali. Wesolo było.

Niedaleko była kapliczka. Pan Jezus w niej siedział półnagi, w cierniowej koronie, pokrwawiony, i opierał brodę na ręce.

Przechodzi Walek mimo, spojrział w kapliczkę, uwidział Pana Jezusa.

Jego tam nie uczył pacierza nikt, ale co nie co wiedział o Panu Bogu. Wiedział i słyszał, że ludzie pacierze mawiają, modlą się, słyszał też, co nie raz o Panu Bogu mówili. Wiedział, że jest i s hrubsa jaki jest. On ludzi stworzył, Onego trza prosić i dziękować Mu, a chwalić Go, i uskarżyć Mu się można, opowiedzieć Mu jedno i drugie, a zwłaszcza strapienie, to pocieszy. Pan Bóg jest ojciec, Pan Jezus syn, ale to do wjedna za jedno.

Stanął Walek sietniak przed Panem Jezusem, patrzy na Niego i powiada:

— Bez cos tak?



I zdawało mu się, że Pan Jezus kiwnął ku niemu głową w koronie i powiada też:

— Bez cos tak?

Widzi Walek, że On też półnagi, pokrwawiony, w cierniach na głowie — i nie wiedział, kogo Pan Jezus myśli? Więc spytał się:

— Ty, cy jo?

Ale Pan Jezus nie, tylko, zdawało mu się znowu, kiwnął głową w koronie.

— E, my się tu, widzem, nie dogodomé wielo oba — pomyślał Walek i poszedł.

Stanął nad potokiem na brzegu między krzakami — pogląda. Ogromnie wesoło w polu. Ruchu, śpiewu pełno. Idą koło niego, koło krzaków, parobek i dziewczka. On w kapeluszu na bakier z kostkami, ona z chustką na kark opadłą.

— Walek, kiez przidzies? — pyta się dziewczka.

— Jutro.

— O przijdze dziś, bo juz niémogem wytrwać.

— Przez cego? — pyta się parobek i śmieje się łotrowsko.

— Ze! — krzykęła dziewczka i zęby mu pokazała w śmiechu wstydlwym a wyzywającym, białe i ostre jak u kuny. Znać, że jej się to tak wyrwało z piersi chcący nie chcący, co powiedziała.

Parobek ją objął ręką i przygiął nieco ku sobie; przycisnęła się ku niemu, a krok jej zwolniał i ocieślał, jakby jej nogi kto podłamał w kolanach.

Przeszli.

Walek temu parobkowi było na imię, przypadkiem tak samo, jak i jemu, Walkowi Prascularzowi.

W krzakach siedział Walek Prascularz, jak dziki zwierz, owrzodzony, obolały, cały lepki i mokry. Chciał wyjść ku polom, właściwie bez żadnego celu, ale się wstrzymał. Onieśmialały go zielone pola i ludzie na nich. Kieby ik nie béto, posełbyk — myślał. I pięknie byś hań wyglondał — dodało mu się w myśli. Tak czuł, że opaskudzi te pola ludziom i że możeby się i same pola zielone go wrodziły... Kto wie, może ziemię owradza, kiedy po niej stąpa?...

Wylazł na małą turniczkę nad potoczkiem, siadł, zwiesił nogi i zapatrzył się we wodę.

— Pomiedzy ludzi musem nie hodzić, bok ócwiara — myślał — s Pane Jezusem jek sie dogodać nimóg. I cos On mi poradzi? Dy je taki biédok, jako i jo. Nawet gaciskók niémo, a krew sie leje po Nim, jak se mnie boloki. Biéda sie takiemu o co wprosać, co nawet gaciskók niémo. Kie w takiém odzieniu syn, to ta i ociec wiele węcél nie bedzie miał. Zyjze se tys ta, Panie Boze, jako mozes, zyj. Ej, a ty, wodo? Cybys mi tys ty nie poradzila jako w téj biédzie? Jeść sie mi fce, worek sie zdar, leci se mnie, gaciska sie tys lewdy trzymiom, syćko mnie boli, świerbi, całe ciało, jak w ogniu, i ognite, plugastwo po mnie łazi, fce mie zywee zezreć, teros, kie jek taki, gęsi mi nik nie

do paść, ej wodo, wodo, radźze mi co przecie w tój biédzie, ej siwa wodo, siwa...

I zesunął się przypadkiem z turni i gruch do wody z brzegu.

Kiedy oczy otworzył, myśli: niebo?!

Powała nad nim z sozrębem świetna, święci pomalowani koło ścian, on leży na miękkiej słomie na ziemi, a nad nim oczu dwoje schylonych. Pomyślał: janiół?!

Oczy siwe, jak woda w potoku, wielkie, jasne.

— Tereś — słyszy kobiecy głos bezdźwięczny. Teresia janiółowi — pomyślał.

— Tereś, osotał sie ta?

— Patrzy, mamó — zadzwoniło nad nim z pod oczu siwych.

Pociekawiło go ta anielska mama i ten dzwonek, chce ruszyć głową — e nie, nie sposób. Ehe! przypomniał sobie — spódek we wode... pobiétek sie...

Ujrzał nad sobą drugie dwoje oczu siwych, ale w zmarszczonej oprawie. Mama janiółowa — poznał.

I spytała się go ta mama janiółowa: — Hłopiec, jakoz ci? zyjes?

Chciał odpowiedzieć — e, niedało. Charknął tylko, zarzęził.

— Nie bedzie ś niego nie! — usłyszał trzeci głos, grubszy: z kąta i kłęb dymu zobaczył wy-



chodzący, a potem ślina kicła na podłogę, cyknięta ze zębów.

— Janiolów ociec — pomyślał. — Fajkę kurzy.

— Stasek, a coby my Komperde Jaśka zawołali, cyby mu co nie pomóg? — słyszy bezdźwięczny głos. — On doktor na sydzko.

— Odpad z turnie — ozwał się grubszy głos — takiego nie bedzies lécył. To przywilija śmierci.

Zrobiło się cicho w izbie; strach spadł na piersi Walkowe.

Śmierć usłyszał. Chciał krzyczeć, wołać: ratujcie mnie! nie dajcie mnie! — ale uwiązgło mu w gardle, zarzęził tylko.

— To przywilija śmierci — powtórzył grubszy głos. — Takiego lécył nie bedzies. Na wieki nie bedzie żył nik.

Siwe, jasne oczy spojrzały z trwogą woczy Walkowe. A jemu się przypomniało i tylko się starał nie chuchnąć, nie chuchnąć, nie chuchnąć...

Usłyszał poważne cupkanie kérpców po podłodze i blisko nad nim zakołysał się dymu kłęb, ślina kicła na podłogę, cyknięta ze zębów, i po pewnej chwili ozwał się grubszy głos:

— On juz zarosumre. Dajcie mu pojeść na dróge.

Obrócił wzrok, zkąd głos szedł, ale głowy ruszyć nie mógł, nie zobaczył.

Siwe, jasne oczy zniknęły. Chciałby je był przytrzymać... Niedługo zobaczył je znowu z innej strony koło siebie i zobaczył twarz i całą postać.

— E dy to dziewcencisko, nie janiol — pomyślał i zamroczyło go. Widział, ale nie mógł nic ułożyć w głowie, rozumiał tylko, że nie jest w niebie, że ludzie wkoło...

Obok pojawiła się starsza kobieta, jak ze mgły, zapachniała mu kapusta pod nosem.

Wysilił wzrok: strsza kobieta stała się wyraźniejszą. Klęczała przy nim na słomie i trzymała mu łyżkę z ciepłą, dymiącą się kapustą przed ustami.

— Pojédz na droge — mówiła.

— Pojédz na dróge — ozwał się grubszy głos.

— Pojedz na dróge — zadzwoniło ponad nim.

I dwoje rąk podparło mu słomę pod głową i dźwignęło ją lekko, ostrożnie, delikatnie.

Święci świecili koło ścian, powała była świetna, sozrab błyszczał na pośrodku.

— Umiéro — usłyszał bezdźwięczny głos.

— To przywilija śmierci — ozwało się jakby z bardzo daleka.

— Umar — zadzwoniło...

JAK DZIWNEGO JUHASA  
ZATAŃCOWAŁO



Dziwny juhas na fujerze grał, a echo rozlegało się dolinami. Grał z Krzyżnego ku Pięciustawom i ku Pańszczycy, a rozmaite widma słuchały go radośnie. Kiedy zagrał cieniłą nutę, wraz leciały mgłą osnute, kiedy zabrzmiał tęższym głosem, dźwigały się ponad plosem, a kiedy się zaniósł śpiewem, leciały het nad Tatrów grzbiet, gnały pod słońce, migotlejące, porwane wiatru gibkim powiewem...

I pędziły k'niemu falą, skrzydła im się w słońcu palą, albo w gwiazdy nabijane śmigają het nad Tatrów grzbiet, w gwiazdach świecące, migotlejące, w obłoków białą wplynioną pianę...

Dziwny juhas grał z przełęczą, echo mu po zboczach dźwięczy, pędzi, tula się w dolinę, przelata het nad Tatrów grzbiet, gdzieś w jeziorze utopione kołysze się na wodnem szkle, przesuwa się po wodnej ćmie — echo rozdzwonione... z fujery.

Dziwny juhas oczy dźwiga, tańczące widma ściga — migotlejące, rozdzwonione — z fujery...

Rodem był ze Skrzypnego, zwał się Jantek Ku-

dłac, do nich się nazywało do Kułaski, co była Ludźmierzanka, matka, z pode Tetmajerowskiego dworu, a juhasował w Pańszczycy. Owce pasał.

Hej! Kiedy wyszedł w turnie!... Kiedy wziął grać!... Fajerę miał godną, długą! Widziało się, że góry słuchają, że kosodrzewina słucha, że stawek w Pańszczycy i w Pięciu Stawach stawów pięć szkli się od dźwięku. To było granie. Kiela światu byś zeseł, takiego byś drugiego nie słytał! Co ta Jasiek Muzyka był ku niemu! Za nic nie stał!

I one, te widma, co popod turnie siedziały, rozmilowane były w tej grze i leciały, tylko zagrał, zkaąd które mogło, gdzieby nie było. Mógłbyś powiedzieć: émy do światła. To się rojem sypało ze żlebów głębokich, skrytych, z pod skał, z pod meków nad czeluściami czarnemi owistych, z otchłani lasów prawiecznych, z prawiękuistych wód. Sypało się rojem.

Jedne gnały het od Bystrej, od Wołowca, długą smugą obłoku nad Pięć Stawów, ponad Zawory; inne gnały od Rówienek z doliny, od cudownych dzikich turni Staroleśniańskiej wieży dwuszczytnej, z podmuchem ciepłym wschodniego wiatru. Szumiała niemi powietrzna wgłęb, a Dziwny Juhas grał na swojej fajerze.

Że się tak zapatrywał w przestrzeń nad sobą, a nie widział wtedy nic i nie słytał: zwano go Dziwnym, Dziwnym Juhasem. Hej! Nie płacił ku niemu nic żaden muzyka świata...

Te widma, jak posprzylatowały ku niemu, te co z dalsza, i te, co z bliższa, z Pańszczyckiej Doliny, z Waksmundzkiej, z pod Miedzianego: to się brały za ręce i tańczyły w koło, hej, a on im dopiero wtedy grał! Wartało słuchać... Rozmaite one były, a on je wszystkie znał.

Były tamoj leśne Ómy, były tamoj Górne Gmly, były wodne Skróśświellice, były wietrzne Poświśtnice, były Takie, co świat zlocą, były, Co go kryją nocą, i były, Co go druzgocą; były jasne Błękitówki, były sine Trupiołówki, co leciały z takich stron, gdzie się mord stał, przekroczył zgon.

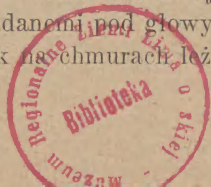
Były także ciche, blade, uśmiechnięte, jak upiory, o olbrzymich martwych oczach, choć patrzyły z nich, jak orły, te, co lecą niewiadomo zkąd?!

Te krążyły mu nad głową, uśmiechały się jak żmije, wyciągały k'niemu szyje, szyje długie, śmigle, białe, usta blade, półzwęglale od jakowejś żądzzy whitej w łona, co się w mgłach chowały.

Te krążyły ponad skały, wielkiem, cichem, równem stadem, wyciągając się na chmurach, jak na wielkich, giętkich piórach, i ziębiły świat, jak gradem.

Gdy leciało stado owe, wiedły zioła podszczytowe, żółty chylił się kozłowiec — widział to Dziwny Juhas.

Hej! Były-że widma wszeliniejakie, ganiały jedne z popodkładanemi pod głowy zaplecionemi rękami, na wznak na chmurach leżące — inne z rękami



kami ku niebu wyciągniętemi, grzbietem do góry, ze skrzydłami na wiatr, jak ptaki wielkie, z przepaści świata.

Dzień po dniu wychodził Dziwny Juhas grać, na samo Krzyżne. Już ztamtąd od południa słychać było jego fujerę. Żeby bardzo pasł, nie mógł powiedzieć, ale że tak cudownie grał, to juhasi radzi słuchali, i sam baca nieraz, Bartek Gapka z Maruszyny, owce za niego nawrócił. Miał też zresztą psa, luptowiaka, Charnasia, rosłego, jak cielę, co, widziało się, ludzki rozum w głowie posiadał. Wszystko on wiedział, co z owcami zrobić, tyle tylko, że doić nieumiał. Nie potrzebował się Kudłac, Dziwny Juhas, o pasienie trapić.

Więc huczały ku niemu doliny. Mógł słuchać, ile chciał. Dźwigaly się posuwiste, przyciechłe, a ogromne głosy z dolin, i pięły się ku niemu ku górze, z obu stron — po piargach z cienia północnego od Pańszczycy, po jasnych uboczach i koso-drzewinie śpiwnej od południa, od słońca, ze Stawów. Dziwny Juhas słuchał i grał. Bo on nie grał na żadne nuty — on się na tej fujerze niósł, jak żeby go niebo ciągnęło, jak żeby się rozpiąć chciał, jak ino widno było po niebie. Nieraz to tak dzwoniło z fujery, jak żeby od niej w koniec świata, z końców świata w nią głosy płynęły. Taki był mały, ledwo go znać było na przełęczy z niższą, a tą fujerą swoją, zdało się, cały świat okrążył, het, het, poza Tatry. Tak, powiadali ludzie, wąż Świa-



togłów ziemię w koło oplata. Leży on na przestrzeni, ogon w pysku trzyma, w ogonie ma kamień czerwony, rubin, wielki, jak słońce, w głowie oczy z dwóch zielonych kamieni, wielkich jak dwa miesiące, co się nazywają szmaragdy.

Na głowie ma koronę brylantową, której każdy brylant wielki jest, jak Spiska Turnia lodowa i kamienna Łomnica razem, a w pysku zęby straszne, jak zęby kołyszącej się w otchani świata Wysockiej. Między zębami ogień biega, szczery ogień, podobny do wiekuiście płonącej taśmy piorunu. We środku ziemia. W okręgu węża.

Tak muzyką z fujery oplatał ziemię Dziwny Juhas z przełęczy Krzyżnego.

Podawały mu ją smreki z wąwozów i urwisk i pustki zielone, dalekie, upłazów i uboczy, gdzie się jedynie kozy dzikie snują, podobne do rdzawych owadów skaczących w oddali. Wielki Staw szklil się ku niemu pieśnią, której głębina progów Tatr sięgała. Tam, od rdzenia, od podwalin kamiennych, z trzonu gór podnosił się chłód niezmiennej martwoty, zastygłości trwałej, i wydobyty na powierzchnię wody, dyszał ku górze, ku górze!... Chwytał on się gry, co z fujery szła, jak zimny nurt rzeczny rozpalonego potoku żelaza, co je z młotowni wyleją. I wraz rozpalona, wichrowa, słoneczna gra chłódła i poczyniała brzmieć dźwiękiem niewysłowionym, jak gdyby złote, świecące

ogniem żywym gwiazdy spadające uderzały o lód pieczar wiekuiście zamarzłych.

I co się nie zrobiło! W jedno popołudnie, w niedzielę, ku końcu lipca, w upał ogromny, kiedy widma nie wzięły tańczyć koło głowy Dziwnego Juhasa! Z tańca zrobił się wir. A najbardziej, najgwałtowniej, najporywczej poczynają tańczyć te widma, nie wiadomo z kąd, co uśmiech mają upiórów. Oczy im rozplonęły, jak żagwie, z włosów się wyplatają jaszczurki w okręcie, wylatują za niemi, iskrzące, pędzą jak zgubione wśród wichru płomyki pochodni. Hej! Już bieda było wydażyć i grać. Coraz chyżej, coraz chyżej i bliżej gnają koło Dziwnego Juhasa widma roztańczone. To była jego największa uciecha, to było jego życie, kiedy grał na swojej fujerze, a one, te widma, Poświstnice i Takie, co świat złością, i Te, co go kryją nocą, i Te, co go druzgocą, leciały ku niemu z przestworów i w miarę jego gry tańcowały. Hej! był-że rad! Boć mu się przecie zdawało, że świat do nóg zczarował, a nawet było tak. Cudowna to musiała być gra, której duchy same słuchały. Cieszył się nią — sobie grał, sobie na wyżynach, na wyniesionem siodle przełęczu, gdzie dumne wierchy gór oparły ramiona, aby spokojnie olbrzymie ciała rozesać i spać w odęciu wyżyny. Hej! Sobie on grał — tam, gdzie wiatr, gnąc się w szyję i łukowe skrzydła wędrownego żórawia, uniał się ku jeziorom, orłem okrążał szczyty, i jak ol-

brzymi gryf o gradami miecącej grzywie, walił się w gwiazdy i tumaniał ku ziemi. Sobie grał...

Ale teraz strach go jął zdejmować. Roztańczone widma, w szalonym okręcie około jego głowy, coraz bliżej i bliżej, coraz chyżej i bardziej porywczoko wirujące, poczęły trącać sobą o jego włosy i twarz. Zdumieli się dwaj juhasi, co słuchali poniżej pod turnią. Z fujery Dziwnego Juhasa wydierały się tony podobne do wycia olodzonych skał, gdy o nie w zimie nawałnica szalonymi skrzydłami uderza. Nagle fujera przestała brzmieć. Oto porwany w wir tańca, za włosy, ramiona i ręce, Dziwny Juhas, z fujerą w dłoni, kręcił się na przelęczy, zda się, latał w powietrzu. Zdumieli się, przelękli juhasi. Kręcił się, skakał lotem, wirował, podobny do oszalałej wichrem gałęzi, którą trąba powietrzna urwie i na miejscu, rozpostartą, obraca. Kręgi robił coraz szybsze, prędsze i bardziej porywczoko. Bo oto wszystkie widma, które do gry jego biegły, jak ćmy do światła, ujęły go w swój tan, który grą swoją wywoływał. A owe, blade, z uśmiechem upiorów, nie wiadomo z kąd przyszłe, poczęły zeń ssać krew, przyczepiając się ustami do jego twarzy, ramion i rąk, roniąc za sobą z rozklebionych włosów płomieniste jaszczurki, jak pochodnie rozchwostywane w żagliki ogniste na wietrze. Dziwny Juhas nie mógł się bronić, nie mógł się zatrzymać. Mgły dostały krzywych pazurów, lbękitne obłoki sieciami szponiastymi opla-

tały jego ciało, ze wszech stron, ze wszystkie sfer przestrzeni spadały na niego płatowiską drapieżne wirów tanecznych, bezcielesnych widm. Chciał się wyrwać, opierać — nie mógł. Piarg usuwał się z pod nóg, głązy stały się ślizgie, jakby je powlekl lód. Tańczył po przełęczy, wleczony przemocą, w takt muzyki, która umilkła w fujerze, a grzmiała w przestworze. Już skały ponad nim, doliny i jeziora pod nim, poczęły się kłębić w potworne koło ruchu, w chaos straszliwy. Mózg począł pękać w głowie Dziwnego Juhasa, serce nie mogło wydażyć bić. Gine! — odezwało się przed nim.

Własne widma! Własne widma! I te, i te — co przyszły — z kąd?...

Wyczarowane grą, w taniec zaklęte... we własny takt...

Nagle fujera pękła w ręku Dziwnego Juhasa, a on sam zatoczył się i runął głową w dół ku Pięciu Stawom, na upłaz, z upłazu w żleb na głązy na dół, na dół, aż mózg pryskał po kantach kamiennych i krew bluzgała jak iskry z główki ciśniętej z góry.

— Is! Is! Co się stało!? Spad! Na tén hań stro-  
ne spad! — krzyknął przerażony jeden juhas do drugiego, z tych, co słuchali i patrzeli pod turnią.

— Raty! Tak, jakby go cosi zdmuħło! — od-  
krzyknął drugi przerażony.

— Wiera! Ale co? Dyj hań nik niebél przy nim!

— Wto wié? Moze bël, ino nam sie widzić nie dało — odrzekł drugi.

Pomilczeli chwilę.

— Ze cozby hań mogło i być? — ozwał się pierwszy z przestraczem.

— Zle.

Poczem obaj poczęli uciekać na dół po piargach ku Pańszczyckim szafas m, trzymając kapelusze w rękach, aby im nie pospadały w koźlich susach, a z trwogi podnosiły się im włosy na głowach.

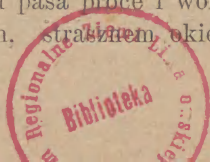


ON





Olbrzymi czarny niedźwiedź urodzony i ucho-  
wany w ciemnosmreczyńskim borze pod Hrubym  
Wierchem, w puszczy, gdzie słońce tylko po wier-  
chowcach świerków świeciło, nie mogąc przebić  
dachu splątanych ze sobą konarów i gałęzi, pod  
którym przemykały się w pogoni za sarną i jele-  
niem hordy krwawych wilków, torowały sobie  
drogę potężnymi łbami odyńce, a po którego wią-  
zaniach ślizgał się cichy, zgubny ryś o złotawej  
sierci: pewnego wiosennego dnia usłyszał głosy  
nigdy dotąd nie słyszane. Zdumiony stanął i słu-  
chał. Były to miarowe ciosy, twarde i głuche, bu-  
dzące suche echo po sobie. Posuwały się od doli-  
ny w górę. I niedługo zadziwionym oczom niedź-  
wiedzia ukazali się ludzie z siekierami w rękach,  
odrębujący na lewo i prawo gałęzie odwiecznych  
smreków, przez co czynił się za nimi długi chod-  
nik. Było ich kilku, przez plecy mieli łuki i strza-  
ły w plecionych z łyka kołczanach, oraz sakwy  
z pożywieniem, u pasa proce i woreczki z kamy-  
kami. Gniewnem, straszliwym okiem patrzył na



nich niedźwiedź. Chciałby się był rzucić na nich, poszarpać ich i rozmieść poprostu na wiatr, a jednak jakaś trwoga zatrzymywała go w oddaleniu. A gdy poczęli posuwać się ku niemu bliżej, wydał z piersi pomruk zły i groźny, ale cofnął się w gąszcz, zaszył w nim i siadł, podnosząc kufę do góry i wietrząc.

Już w parę dni potem, chodnikiem przez cały las przeciętym, na polanę, gdzie rosły wysokie szczawy górskie, szerokich liści łopuchy i mnóstwo kwiatów i ziół, tak, że polanka mieniła się błękitnym, żółtym, czerwonym, fioletowym i zielonym kolorem, przypędzili ludzie stada owiec i wołów, a wielkich, jak wilki i do wilków podobnych z wejżenia siedm białych kudłatych psów w kolezatyach obrożach szło obok, lub za niemi. Natychmiast z głazów poczęto klecić jaty, na głazach pozbijano żerdzie i pokrycie umoszczono z żerdek i odartych łup drzewnych, a na wierzchu poukładano ciężkie kamienie od wiatru.

Na około polany uczyniła się pustka. Pasające się tam dotychczas sarny i jelenie popierzchały, wilki podchodziły gęstwiną, nęczone widokiem owiec i wołów, ale bały się psów, zawsze czujnych juhasów, zbrojnych w daleko sięgające łuki i proce i ostre ciupagi i noże, a przedewszystkiem ognia błyskającego we dnie i w nocy z jaty, który nigdy nie gasnął. I dzikie szczeciniaste maciory, które tam żyły uprzednio, szukając bulw ziemnych,

stadka swoich warchlaków pouwodziły daleko i nawet mocne, odważne, a często zuchwałe i napastliwe odyńce nie zbliżały się ku polanie.

Z wysoka, z turni, z ponad dwóch stawów, co powyżej w dolinie wiecznie senne leżały, poglądały na nią ciekawe, szybkie kozice, w olbrzymich susach uciekając, gdy juhasi z owcami podwyższali się na upłazach, i tylko jedne orły skalne zakołysały się czasem na rozłożystych skrzydłach w przestrzeni, zaważyły i spadały, jak piorun na jagnię, które unosiły ze sobą, o ile nie dosięgła ich prędka pierzasta strzała, kamień z procy, lub śmigła rzucona przez juhasa ciupaga, warcząca w powietrzu w potężnych kozłach, nigdy niechybna.

Wkrótce poogradzano dla owiec koszary ze strągami, obok pierwszej jaty wyrosło kilka innych, powstał szałas.

Zdała, z kosodrzewin, pozierał ku polanie niedźwiedź. Mieszkało ich tu w Ciemnych Smreczynach kilkanaście, tu się pały, mnożyły i wychowywały, ztąd czyniły wyprawy na owsy zielone w lecie i złociste w jesieni ku wsiom ponad Wagiem, tu przesypiały snem zimowym zimę, przechodząc czasem ku Wiercheichej popod Kopy, ku Rybiemu i w inne doliny, rojne od pobratymców. Panowały niepodzielnie i absolutnie w górach. Łoś o rosochatych łopatach, mieszkający poniżej, zmykał ciężko, gdy tylko na ślad ich łapy natrafił; potworne tury o czołach twardych, jak głaz, a sile

powodzi, nie pasowały się wysoko i toczyły walki z dolinnemi niedźwiedziami, po lasach. Stare, błyskające długimi kłami odyńce farkały i kłapały zębami, ale przysiadając na zadach pod wykrotem, gotowały się tylko do obrony, nie napadając same, a wilki, gdy bandą szły, a były głodne, mogły być niebezpieczne tylko na nizinie, gdzie drzewa nie rosły. Zresztą wygłodzone i do szaleństwa zuchwale bywały tylko w zimie, kiedy niedźwiedź dobrze ukryty spał.

Nie było zatem rywala i jedynie miłość wypełniała góry rykiem walczących samców, podobnych do burz walczących. W całych Ciemnych Smreczynach, a może w całych Tatrach, nie było groźniejszego niedźwiedzia. Barki miał jak kloce, łeb, jak kępa, sierć czarną, lśniącą, a kiedy się wspiał na zadnie lapy, wyglądał jak drzewo. Najstraszliwszy był ze wszystkich.

On też pierwszy ubił wołu osiadłym na polanie juhasom. Ubił go w biały dzień, zabląkanego daleko w kosodrzewinach, a uderzył tak potężnie, że wół od jednego zamachu za łeb padł martwy z przetrąconym rdzeniem, nie zdążył nawet ryknąć i zguby jego nawet nie dostrzeżono na razie. Dopiero zlatujące się na ścierwo orły, sępy, jastrzębie, sokoły i sowy rozliczne, sprowadziły juhasów, którzy znaleźli już tylko kości.

Ośmielony napadł na innego wołu, w stadzie. Stado pierchło w przestachu, nadbiegły jednak

z ujadaniem psy, za niemi z krzykiem z ciupagami w rękach wolarze. Niedźwiedź rozdarł najśmielszego psa, rzucił głazem ku ludziom, ale uciekł.

Od tego czasu zaczęła się walka, bo i inne niedźwiedzie podchodziły pod woły, lub napadały owce. Nocami zwłaszcza i psy i juhasi pilnować musieli, gdyż rysie skradały się gęstwiną, a wilki wyły dookoła, odpowiadając zaciekającym się od szczekania owczarkom.

W powietrzu z ptakiem drapieżnym, na ziemi z drapieżnym zwierzem rozpoczęła się walka na zabój. Ale juhasi poznali już, że największe szkody, najśmielsze napady wykonywa ten wielki niedźwiedź czarny, „on“.

Jego zaś wściekłość brała na psy i ludzi. Nieraz cały szereg dni przeszedł, że nie dało się ani jednego wołu zwalić, ani jednej owcy porwać. Przypadł niespodziany wczesny śnieg jesienny, tak gruby, że pokrył krzaki drugich borówek i bruśnic, obłamał i zasypał czerwone gałęzie skorusz, trawy pogrzebał — nastał głód. Większość juhásów z wołami i częścią owiec zeszła do wsi, obiecując sobie powrócić, gdy śnieg staje; zostało tylko paru ze stadem owiec, które zamknięte w koszarze żywiono nakoszonem za lata sianem. Przy nich były tylko dwa psy.

W noc ciemną i mroźną, pełną wichru ze śniegiem, wypadł „on“, jak burza z chmur, z pomroków leśnych, runął jak lawina, urwana w upłazie,

na polanę i gnał, jak potok z przewzbranego deszczem jeziora ku koszarowi. Wybiegły naprzeciw niego psy, ale nie zważał na nie, a one też tylko z daleka ujadły. Jednym susem przesadził płot koszara i gruchnął na zbite w kupę, rozpaczliwie beczące owce.

Prędzej, niż pomyśleć można, bił i ciskał na kupę. Nie pił krwi, nie pochłaniał mięsa, tylko bił i bił, grzmotał łapami i ciskał poza siebie. Zapamiętał się w tej rzezi okropnej; mordował i mordował.

Usłyszeli hałas psów i bek owiec juhasi, ale nie mogli biec na ratunek. Pod mokrym śniegiem gaśły ze sykiem porwane z ogniska główne, w ciemności bali się zaś przybliżyć, a ich krzyki nie odstraszały niedźwiedzia. „On“, „on“, powtarzali z rozpaczą, gdy „on“ szalał w koszarze, jak szaleje płomień w ciemnej stodole, pełnej słomy i suchego zboża. Gdy przez rozwalony płot owce wydarły się z koszara i wartogłowe ze strachu popędziły na oślep w sto stron; niedźwiedź począł pić z najcieplejszych krew, począł łykać wyszarpywane płaty mięsa z ciekącym od krwi runem. W końcu porwał jedną sztukę i w skokach przepadł w lesie.

Nazajutrz płacz i lament nappełnił polanę. Niechęć, że wyżej trzydziestu owiec pobił „on“; mnóstwo pochwytały wilki, gdy się rozpierzehły, co po śladach poznać było można; mnóstwo zapodziało

się tak, że nawet odgadnąć nikt nie mógł, co im drogę zaszło. „On“ zrujnował szałas do szczytu, i z płaczem, klątwami, złorzeczeniami i odgrózkami, z resztą żywych i zdrowych owiec, które się zegnać udało, uciekli jlhasi do wsi, zamknąwszy pobite owce w jednej z jat i obwarowawszy ją i zaparłszy kołami i głazami, nim by przybyli liczniej po skóry i mięso. Ale „on“ czuwał. Też samej nocy uderzył na jatę z towarzyszymi, rozeprali głazy, rozmiotli kłoty, koły i żerdzie i wyprawili sobie ucztę, od której krwawych strzępów pełną była dolina. I gdy w trzy dni później, za ciepła, powrócili wolarze i owcarze popod Hrubby Wierch, zastali zdruzgotaną jatę i wszystko mięso pożarte.

— „On“...

— „On“...

Rozzuchwalone tem powodzeniem niedźwiedzie dzień i noc trapiły pasterzy, że wielu się zarzekało, powróciwszy w jesieni do domów, że tam już nie pójda następnej wiosny, a straszna sława rozniosła się kręgiem koło Tatr.

„On“ zaś tryumfował. W blasku księżyca gdzieś w uboczach Gołych Wierchów stawał, do czarnego głazu podobny, i patrzył z wysoka na puste doliny. I czuł się jeden potężny i niezrównany, jak halny wiatr, albo piorun, którym nic nie wyrówna. I w jesiennem późnem słońcu przewalał się po aksamitnych ułożonych upłazach, po ogromnych błyszczących trawach, podobny do kłody smreko-

wej, sam jeden najpotężniejszy, jak głusza zimowej nocy, albo mróz ranny, który wszystko w łódź scina. I puste milczące lasy znówu były jego niepodzielnem księstwem. Posepny, kolosalny, ugiął barami konary przekraczając potwornie zbutwiałe kłody, albo płynął wśród jesiennych wybujałych traw, czerniąc się wśród nich grzbietem, jak ciężko ładowna łódź na ruchomej fali. Wędrówki jego napełniała słodka pamięć klęsk, które zadał, zwycięstwa i pogromu. Królestwo jego, od wieków przez przodków mu przekazane, znówu stało się wyłączną jego własnością. I uderzył, jak skała w szczytach urwana, na wściekłego tura, który się z nizinnych borów popod Krzywań przybłąkał. Ujrzał go tur zbiegającego w dół między wielkimi, staremi, rzadko rosnącemi smrekami, pochylił łeb o strasznem czole rogach, zaryczał krótko, gardłowo i rozstawił szeroko przednie nogi, zapierając się zadniemi w grunt. Tak stanął, do mostu, na który kra uderza, podobny. Atoli szybciej, niż złamany wichrem smrek na Kierz się wali, runął nań niedźwiedź i łapą w kark go uderzył. Bluznęła krew. Potworny bek wyrwał się z gardzieli zwierza i równie, jak dwie lawiny głazów z dwóch przeciwnych skał lecące zetrą się z sobą w kotlinie, kamienie spiętrzą się w mury, a huk wypełni przestwory, tak oni z rykiem zwarli się ze sobą. Ale mocne, śmiertelne czoło tura ugodziło w pustkę: niedźwiedź uchylił się i powtórny raz zadał



w kark wroga, wyrywając płat mięsa, który odwalil się od kadłuba, jak kęs drzewa piorunem z pnia oddarty. I cios za ciosem ponawiał straszliwy napastnik, unikając ciężkimi, ale szybkimi skokami rogów i czoła byka. Wreszcie ów, ucho-dząc śmierci, zawrócił i cały czerwony od posoki i olbrzymie jej bluzgi na mechy i gałęzie, o które się ocierał, rzucając, rozpaczliwym biegiem uciekać począł, z tętentem, jak gdyby młoty uderzały w ziemię. Ale stary milczący las nieruchomo pa-trzał na tę walkę.

Zaś niedźwiedź zapragnął słońca po boju. Prze-szedł więc dolinę Niefcyrki ponad doliną Mhynicz-ną przez grań od Hrubego Wierchu i tam pod prze-łęczą, w niezmiernej wysokości, leżąc między pro-gami skalnymi na rozpalonej trawie, grzał się w słońcu, spoglądając w swej dumnej samotni na szeroki kraj ludzki tam nisko... I nie było żadnego więcej zwierzęcia, tam, na wysokości. Stadka ko-zie, gwizdząc na trwozę, pomknęły w szalonych rzutach w niedostępne, czarne krzesanice, ponad im tylko niegroźne otchłanie i niewielki jastrząb trzepotał skrzydłami w błękitnem powietrzu, cza-tując na siedmiobarwne, długodzióbe motyle skalne.

Nadeszła zima a z nią zimowy sen. „On“ spał pod wykrotem kędyś w Hlińskiej Dolinie, ale lu-dzie radzili o „nim“. Bo żal im było nie powracać na traworodną ciemnosmreczyńską polanę, a przy-

tem nurtowała ich serca chęć krwawej zemsty. I gdy wiosna nadeszła, kilkunastu ludzi, dobrze zbrojnych w łuki, noże i topory, z łopatomami w rękę i z zębatego żelazami, zaopatrzonymi w grube łańcuchy, ruszyło wyciętą percią w góry.

Ujrzał ich obudzony już niedźwiedź i znowu chęć w nim zawrzała rzucić się na nich i rozmieść ich po lesie i znowu jakaś trwoga popchnęła go wstecz, w gęstwinię. A jednak czuł, że cieńkiej skoruszyny łatwiej nie łamie, kiedy ją chyli, aby owoce jej pożreć, niż zmiażdżyłby każdego z tych ludzi. I już, już porywała go żądza krwi runąć ku nim i powstrzymywał go jakiś niepojęty lęk. Ha! gdyby który zbliżył się ku niemu, gdyby natarł na niego. Podarty w sztuki okrwawiłby kosodrzewinę... Oko w oko spojrzeć człowiekowi, zbliżka, tuż, tuż, to była najnienawistniejsza chęć „jego“ najpełniejsza dyszącej krwią zjadłości. Ale natrzeć nie śmiał, czując jakąś siłę obcą, nieznaną, niepojętą w człowieku, mimo, że był dla jego ramion, jak giętkie gałęzie krzaków malinowych.

I przyszli znów na halę z wołami i z owcami juhasi. Przyszło ich więcej, przypędzili więcej wołów i owiec i psów przyprowadzili dwunastu. A szli z hukaniem, śpiewem i muzyką, napełniając góry dźwiękiem gęśli, brzęczącym beczeniem kobzy, daleko biegnącym świstem piszczałek i rozległym wyciem długich trombit. Szli tak, jakby pragnąc odstraszyć zwierza i naprzód ogłosić zajęcie w po-

siadanie, zdobycie i utrwalenie swej władzy na ciemnosmreczyńskiej polanie.

Bo ci z nich, którzy przybyli tu uprzednio, pokopali doły głębokie z niezmiernym trudem w skalistej ziemi, poczynili na nich wiązania z nawleczo-nych gałęzi i konarów i pokryli je mchem, aby stały na zdradzie wilkom, i pozakładali żelaza na niedźwiedzie.

Ale „on“ zaraz pierwszego dnia po wygonie wołów, w samo południe wypadł z kosodrzewu, ogromnego siwego wołu upatrzywszy. Wół wczas zoczył potwora, zaryczał ze śmiertelnej trwogi i zardarłszy ogon uciekać począł, dognany jednak, mimo wściekłego ataku trzech psów, które nadbiec zdążyły, padł pod ciosami łap nieodparty. Dwa jeszcze psy biegły z pomocą i siedmiu wolarzy, — „on“ cofnął się od zdychającego wołu w gęstwinię, ale dał znać, że jest, że panuje i odpowiedział na tryumfalne wejście w jego królestwo.

Walkę podjął i że nie zesłabł, pokazał.

I w pewną ciemną dżdżystą noc postanowił ponowić napad w sam środek polany, na koszary z owcami. Aliści nagle przy wyjściu z kosodrzewu straszliwy ból przeszył mu boki i w zadnią nogę wpiły mu się z dwu stron śpiczaste długie żelazne zęby oklepcy. Ryknął boleśnie i szarpnął nogę, a toli żelaza nie puściły, a gruby łańcuch i ogromny kłot drzewa z brzękiem, chrzęstem i łoskotem powlekły się za niemi. Rycząc, począł się miotać

i szarpać, nie mogąc się uwolnić, nie mogąc cofnąć, bo półkola żelazne, łańcuch i kłót zawadzały o każdą gałąź i każdy sęk kosodrzewiny.

I toczyła się powoli czarna dżdżysta noc ponad nim, nad jego rykiem strasznym, wyciem przerażonych wilków i zawziętem ujadaniem psów, które oblegały zdala miejsce jego nieszczęścia. Czasem z śród chmur wyrżał posepny wiszący w otchłani niebotyczny cień skały, jakby ciekawej: co się dzieje tam na dole, gdzie coś żyje, rodzi się i umiera...

I nastał świt. Blade światło rozlało się po dolinie i natychmiast ludzie wyszli z szałasów z łukami toporami i maczugami w rękę i ostrożnie, powoli, z ujadającymi psami przed sobą, poczęli podchodzić w górę. I stanęli w zdumieniu, albowiem ujrzeli „jego“, bo go poznali po rozmiarach i czarnej sierci, może na jakich ośm wysokości ludzkich z żelazem, łańcuchem i kłótem między konarami potężnego smreka, gdzie z bólu, rozpaczony i wściekłości szalony wylazł, naokół zaś powyrywane z korzeniami drzewka, pokruszone, podruzgotane, potrzaskane pazurami i zębami gałęzie, pomiażdżone krzaki kosodrzewu, powydzierane z ziemi głązy, ciężkie, jak młyńskie kamienie.

Stali i patrzyli zdumieni, nie śmiejąc się zbliżyć.

— „On“...

„On“...

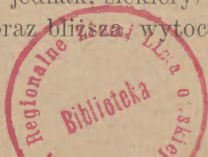
Wtem jeden pochylił się, podjął kamień, napiął

procę i puścił cięciwę. Wnet uczynił to drugi, a inni naciągnęli trzymane w gotowości łuki. Grad strzał i kamieni począł bić w konary, w pień i w niedźwiedzia. Wówczas runął on na dół, aby rzucić się na ludzi, runął krwawy, pokaleczony, z tkwiącemi w ciele kilku pociskami. I poskoczył ku czeredzie napastników. Cofnęły się naprzód psy, zaskomlawszy, i pierzchły, a wraz cofnęły się gwałtownie ludzie. Pozostał tylko jeden wysoki i szeroki w barach góral, ze szpikulem żelaznym nasadzonym na grubem drzewcu bukowem. Ten stał, wsparłszy trzon o głaz i nastawiwszy ostrze.

Wlokąc żelaza w podrzutach przypadł ku niemu „on“, a gdy już był na kilka kroków, wspiął się, aby łapą przednią w głowę uderzyć i nabił się na nastawione ostrze piersiami.

I wtenczas zbliżka pojrzał w oczy człowieka. Wtem topór ciśnięty przez jednego z juhasów zawarczał w powietrzu i wciął mu się w czaszkę za uszami. Zaraz drugi ugodził go w kark, trzeci w jedną z łap przednich. Także rzucane z ręki kamienie poczęły grzmocić mu w ciało. I zwałił się na bok z ostrzem w piersiach, łamiąc drzewce ciężarem upadku.

Człowiek uskoczył, natomiast nadbiegły psy i za nimi ludzie. Dwa rozżarte kundysy wyzionęły życie z głuchym przeraźliwym jękiem pod „jego“ łapą. Strzały jednak, siekiery, maczugi, kamienie, ciskane z coraz bliższymi wytoczyły zeń tyle



krwi, że stało mu się ciemno w ślepiach i bezwład opanował mu członki. Widział tylko, jak przez mgłę, posuwającego się ku niemu owego wysokiego, szerokiego w barach górala, co mu spisę pod pierś podstawił, i uczuł wstrząsający całym jego jestestwem straszliwy cios maczugi w czoło, pod którym głowa spłaszczyła mu się na ziemi.

I jeszcze przenikliwy, niedozniesienia, przeraźliwy ból rozwarł mu ciemne prawie ślępia; to przewalonemu już na wznak drągami jeden z juhasów pruć długim nożem brzuch i wypuszczał wnętrzności.

I wtenczas znowu ujrzał ludzi zblizka nad sobą.

Ciemne Smreczyny zostały opanowane, a „jego“ potworną skórę, rozpiętą na wbitych w ziemię kulikach, suszyło słońce.

ROSICKA





Był w Ludzimierzu nad Czarnym Dunajcem klasztor, a w nim mnichy, co się nazywali Cystersi. Osadził ich tam wojewoda Iwo Cedro, a kiedy klasztor fundował, to mu z za kołnierza dyabeł wyglądał, co na obrazie za wielkim ołtarzem w kościele więcej niż pólśiedmsta lat przetrwało.

I był w tym klasztorze zakonnicek jeden, młody, nazywał się Augustyn, strasznie gorliwy i na pogaństwo okrutecznie zawzięty. A tu chłopcy w najbliższej nawet okolicy, jak się im powiedziało: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — to odpowiadały: Je dy Go ta kfał, jak mas cas..

I powiada raz ten ojciec Augustyn do opata: Ojczye wielebny ja pójdę ludzi nawracać.

— A gdzie? — pyta się go opat i po brzuchu się gładzi, bo właśnie łososia jadł.

— W góry.

I pokazał ręką od Maruszyńskich wzgórz ku Tatrom.

— Eć! — krzyknął opat. — Poszli tam ojcowie Paweł i Jakób i niewrócili więcej, niewiemy nawet,

Panie świeć nad ich duszą, gdzie ich ciała niepo-  
grzebane leżą? Wilki ich zjadły, albo łośrowie za-  
bili. A może i śmierć męczeńską ponieśli i ztądby  
chwała na zakon spadła. Już nam i tak Dominika-  
nie przyganiają, że mało świętych produkujemy.  
I kogóż byś tam nawracać chciał? Tych zbójów  
góralskich, pośród których ledwie wytrwać może-  
my?! Powiedzieć niema co: zwierzyzna jest, sarny,  
zające, jelenie, grzyb, ryba, jagoda jest, kuna na  
futro, jaja czajeze na post, jest, jest — ale niech  
tu dyabeł nawraca! Ostać się trudno. Złodziej na  
złodzieju złodziejem pogania. Dobrze tyle, że się  
na klasztor nie śmieją porwać. Na świętą Kune-  
gundę i świętego Remigiusza Patrona! Boskiej o-  
patrzności kościół, a klasztor sowom i kawkom zo-  
stawić! Szczyrzyc piękne miejsce...

— O nie godzi się tak, nie godzi się tak, ojcze  
wielebny! Im cięższa służba, tem większa zasługa!  
Pozwólcie mi, ojcze wielebny, iść, ja czuję, że mię  
głos pański woła i że się we mnie duch dźwiga.

I opat mu pozwolił wreszcie. Nie śmiał się gło-  
sowi Pańskiemu sprzeciwiać, ale się usprawiedli-  
wiał przed starym kościelnym: Padoł, że się w nim  
duch dźwiga.

A kościelny: Dźwigać się ta dźwiga, ino nie  
wiem, ale się to za moich czasów nazywało inacy...

W ranek majowy, w świt pełen woni, przeczy-  
stego powietrza i upajającej świeżości, przy wscho-  
dzącem słońcu ruszył ksiądz Augustyn z bramy

klasztornej, nie w rękę nie biorąc dla obrony, ani psa z wielkich kudłaczy, które zakon chował, cały na Boską Opatrzność, która go natchnęła, zdany. Dunajec wbród przeszedł i kamieniami ku drugiemu ramieniu wody „pod brzyskiem“ szedł. A potem zaraz zaczynały się już lasy i wśród nich rzadkie osady.

Śpiewając pieśni nabożne, ze skaplerzem na piersiach, z różańcem w ręku szedł nawracać naród pogański.

Przechodziły mu drogę potwory: wilki, dziki niebywałej wielkości, niedźwiedzie tak ogromne, jak krowy, ale jakoś szczęśliwie między niemi przechodził, ufając.

I pół dnia brnął po lasach, nie napotkawszy ludzi, aż w południe samo posłyszał z gęstwiny i mroku packanie kijanki i śpiew niewieści. Ucieszył się, jedno, że się pracą świętą rozpocząć spodziewał, drugie, że i za widokiem człowieczym stęskniony był i skierował w stronę, z kąd głos leciał. I już wyraźnie odróżniał.

„Uwiede, uwiede, kie pude po wode, nie uwiedem we dnie, ale wiecór pewnie!...“.

Z pomiędzy drzew zobaczył polanę, na niej kilkanaście okolicznych obór, ogrodzonych ostrokolami, a za ostrokolami widniały ogródki kwietne. Trochę też pola uprawne, zieleniły się na zagonach owies, nać karpielowa, kapusta. Nad potokiem klęczała młoda, koło siedmnastu lat dziew-

czyną i prała kijanką koszule, których kilka leżało rozciągniętych na brzegu do słońca.

Na głowie miała białą lnianą chustkę, zawiązaną pod brodę, w koszuli była rozwartej na młodych piersiach, w płótnianej spódnicy, ugiętej tak, że jej po kolana gołe nogi widno było; rękawy też miała wyżej łokcia zagięte.

Ksiądz wysunął się z gęstwy.

Dziewczyna na jego widok porwała się z nad wody i zamierzyła kijanką do ciosu.

— Niech będzie pochwalony — rzekł ksiądz, a oczy mu mimowoli padły na rozwarcie koszuli.

— Co fces?! — krzyknęła dziewczyna ostro.

— Pana Boga chwałę.

— Boga?

— Haj.

Dziewczyna patrzyła na zakonnika i rękę z kijanką opuściła wzdłuż biodra. Jakiś ładny i niezły — myślała.

Co haw fces? — zapytała łagodniej.

— Z Panem Bogiem przychodzę.

— Bóg nie potrzebuje, cobyś go nosić. On kie fce, to se haw przydzie sam.

Ksiądz zbliżył się ku dziewczynie; ta, widząc jego wysmukłą postać, niepodobną do olbrzymów, którzy ją otaczali, raczej z dobrotliwym politowaniem, niż z obawą nań spoglądała.

— Coześ ty za jeden? Skądeś prziseł? Jeść ci sie nie fce?

— Jagody jadłem w lesie, miałem chleb i ser. Bóg ci zapłaci. Idę z klasztoru z Ludzimierza. Boga prawdziwego niosę.

— Je, juzek ci pedziała, ze bóg niepyta, coby go kto nosował. Toś ty z klastoru? Wiem. To ty niemozes ku dziewczkom hodzić, ani baby mieć? Wiem, słysałaś.

— O nie.

— Mój biédoku! Je jakoz ty wysiedzis hań przez kohanio? Toś ty moze skrós tego tam stela uciók?

Obraził się ksiądz, ale się wstrzymał, i rzekł łagodnie: Poganko młoda, kto Panu Bogu, Jego Synowi Najświętszemu i Jego Matce Maryi Pannie wiarę poślubił: już ten innej miłości niemoże znać.

— Jakosi cudnie gadas. Hnet byś mie z rozumu wywiód. Jakiz to Bóg, co ma syna? I ta Maryja, cy jako jej, to sie niewydała, kie je pannom? To se jino tak syna s tém Bogiem mieli? Ej ha!

— Wszystko ci to wytłomaczę, młoda poganko. Jak ci na imię?

— Mnie? Rosa, ale mnie wołajom Rosicka, abo Roska.

— Rosa? Može Róza?

— Jaka ta róza?— Róza kwiat.

— A rosa rosa.

— Je dy bez to. Od rose mie nazywajom Rosicka.

— Słuchajże, Rosicko, moje dziecko — zaczął ksiądz.

— Dziecko twoje? Je dyś ty jesse smark! Małoś co starsy, jako ja!

Zbliżył się ojciec Augustyn ku potokowi i siadł na kamieniu.

— Bolom cie nogi? — spytała Rosicka.

— Dużo szedłem.

— Je to se jino siedz. Ale jeść ci sie nie fce?

— Nie. Słuchajże, Rosicko, moje dziecko w Chrystusie. W cóż ty wierzysz?

— Ja? Zje w cozyk wierzyła? W Pogode i w Psote, w Zielnom i w Kwitnoncom, w Mór i Powieher, w Grad i w Grzmiot. Bogów jest dość, wseliniejakik, a nad syćkami jest Cas.

— W Imię Ojca! — zakrzyknął ojciec Augustyn. — Toś ty poganka prawa?!...

I jał się żegnać, jakby chciał złęgo ducha odegnać.

— Je coz to robis — zapytała zdziwiona dziewczyna — co tak mieles renkom po sobie?

— Żegnam się w Imię Pańskie i dyabła od siebie i od ciebie odganiem. Toś ty nic nie słyszała o Bogu chrześcijańskim?

— Jakiz to?

— Który dobre nagradza, a złe karze. Którego chwalić trzeba i prosić Go —

— A zawdy da?...

Zastanowił się ojciec Augustyn.

— Według woli swojej.

— Ja ta jino wte pytam\*, kie wiem, ze nie po próżnicy.

— Który stworzył niebo i piekło.

— Niebo, wiem; a piekło?

— Gdzie dusze przeklętych gorzeją wiecznie.

— A wtoz przeklenty na wieki?

— Ten, co Pana Boga nie czei.

— Ehe? To sie wej rad mści twój Bóg? Ehe!  
A s cymze mu sie zasługować?

— Trzeba się wyrzec marności światowych.

— Je jakiez to ty marności?

— Które dyabeł stworzył.

— Djabol? Zły? On ta wse człowiekowi blisko.  
Westchnął ojciec Augustyn, że tu o dyable pierwszej słyszeli, niż o Panu Jezusie.

— Trzeba dla miłości Boga wyrzec się uciech świata — prawil dalej.

— Jako? Jaby miała nie tańcować pokrony jakiegosi boga? Ze dy nasi to jesce by s nami tańcowali radzi.

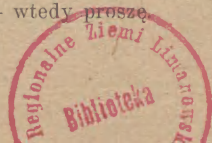
— Trzeba ciało umartwiać, pościć, biczować sie, we włosiennicy chodzić, na gołej ziemi sypiać.

— Tu mas! — krzyknęła dziewczyna oburzona. — Ja o takim bogu ani niekcem słyseć-

Zastanowił się ojciec Augustyn i pomyślał: sroga to jeszcze poganka i zgoła pojęcia o świętej

---

\*) Wte pytam — wtedy proszę.



wierze katolickiej niema. Nawrócić i zbawić tę duszę mój obowiązek. Ale poznać ją wpierw trzeba do gruntu, jej błędy i herezye.

I spytał: A twoje bogi jakie?

A dziewczyna zaczęła: Moje bogi som niejest takie... Ony ta nicego się wyrzekać nie nakazujom i kiebyś im jino miodu postawił, plaacka upiók, wian zielony, abo kwietny zawiesił, ogień śmolny zapalił: to ony jus rade. A nalepso Zielna.

I pół mówić, pół śpiewać zaczęła: Zielna idzie po polanak, po trawnikak, po zagonak, i po lasak idzie carnyk i po wodak i po górak... Zielna sieje młode kwiaty, młode ziele, młode drzewka, a we wieńcu hodzi polnym i w obłak sie stroi rada... Uwidzis jom w młodym słońcu, w małym maju, jak se hodzi ponad pola... A dziewcęta jej na pełni wieńce pletom i chram strojom w rozmaite leśne kwiaty, w leśne kwiaty i jagody... W wielgim maju jej na pełni wieńce pletom i chram strojom, chram, co stoi hań pod lase, pobudowany ze skali... Chram ubierom pięknie w zieleń, we woniącom, w urosonom, od tej rose, co jom miesiąc, co jom miesiąc biały sieje... Pote ogień sie zapali, ogień ze smolnego drzewa, coby dym seł jaz pod hmury, jaz ku niebu, jaze het!... Pote weznom sie za ręce, tańcom, hipcom koło ognia, w wielgim maju, hej na pełni, w ciepłom, eihom, jasnom noc... I śpięwajom tak:



Zielna, Zielna, ty nam daj, coby nam sie darzyło!  
Na zywine, na ludzi coby moru nie było!  
Zielna, Zielna, ty nam daj, scyńscia prziniēs cały snop!  
Siej na domy, na pola, pier na lasy, wody krop!  
Zielna, Zielna, my sie dziś cysto pieknie ubrały,  
coby my ci całom noc, całuteńkom śpiewały!...

A te, co som panny jesce, to sie pote wraz odłą-  
com, zrobiom mniejse koło w kole i zaś zaśpiewa-  
jom tak:

Hej Zielna, Zielna zielona,  
boginio ulubiona,  
dotknij nam nasyk piersieek,  
dotknij ocy, dotknij licek,  
Zielna, Zielna lubiona!  
Bo my jesce godne twojej  
renki, co w kwiat ziemie stroi,  
Zielna, słońcem splaniona!  
Jesce my z nikim nie spały,  
jesce my jak ten śnieg biały,  
jak ta rosa, jako sreń!  
Jesce mamy wstyđ rumiany  
jasnom różom malowany —  
Zielna, Zielna! To twój dzień!...

A za tela sie parobey ka wto moze pocihućku  
poza krzaki przikradajom i pote ku dziewczkom hip!  
Przerwiom wian, poozruwajom, a dziewczęta z krzy-  
kem w las! Uciekajom, oni goniom, wtory zdole,  
z ognia hyci smolnom gałąź, to ś niom leci, a świe-

ci se het po lesie. Pełno krzyku, śmiechu, pisku, ognia w lesie — — Zielnej święto! Wtedej wtora nieucieknie, kie jom złapiom i przisiendom, to jus bedzie ig! Ale ta mało wtora tak ucieka, coby jej zaś nie dostali — — i jest wielgie Zielnej święto, w wielgim maju hej na pełni, noc miłości, święta noc...

Słuchał ojciec Augustyn i zasłuchał się. Bo to było młode i nigdy świata Bożego nie widziało. Zasłuchał się i oniemiał.

— Noc miłości, święta noc — — powtórzył.

— Wiés ty, co — rzekła mu dziewczyna — pomożes mi kosulki moje poozciagać do słonka, coby skły, to ei dam obiad. Ale hań ozciągaj wysy, ka obsukciej, nie haw zaraz przy wodzie.

Nim się ksiądz opatrzył, włożyła mu w ręce obu garść włgotnych koszulek — i nim pomyślał, rozciągać je zaczął.

Serce mu biło i ręce mu drżały, a w uszach dzwoniło: noc miłości, święta noc...

— A ta, wiés, ta kosulka, co ma takom korunecke koło syje, to na święto, na zielne.. Takom kosulecke to jino ta ma przywilijom oblec, co je jest panna.

— Toś ty panna? — wydarło się zakonniczko-  
wi z piersi.

— Ba jakoz? Panna!

— I na tę świętą noc, noc miłości, tę koszulkę uprałaś?

— I piérsy raz. Prządłak na nie płótno i usyłak sama. Bo tak ma być. Kie pietnaście lat dziewęc-ciu minie, wte jej takom kosulke dajom syć i wy-prać. Przódziej nié.

— To ci dopiero piętnaście minęło?

— W lecie. Be niedługo na siedemnasty.

— I pannaś?

— Je coź sie tak cudujes? Dyješ ta i ty moze jesce panic, hoćješ ta jus i byciar nie od wcorańsa.

Gorąco się zakonnickowi zrobiło, a wielkie sza-firowe, pełne światła i iskier oczy Rosicki patrzy-ły weń ze śmiałym, naiwnym, pytającym uśmiechem.

— No, poozciągali my pięknie. Słonko dogrzy-wa strąśnie. Podźmy ka do cienia legnąć.

Staął zakonnik, wyprostował się.

— Hybaj! Legniemé hań pod tym jawore..

Poszedł. Coś go urzekło. Legł na trawie. A dziewczyna zaczęła się bawić jego skaplerzem, po-tem różańcem, zdjęła z niego jedno i drugie, a on sie nie bronił nic, nic... Potem zaczęła się bawić jego kędzierzawą młodzieńczą brodą i miękkimi ciemnymi włosami.

— Ładnyś — rzekła, a piersi jej się wzniosły.

— Ładnyś — powtórzyła.

I dwa silne, gibkie, sprężyste ramona otoczyły szyję ojca Augustyna.

Tymczasem niedługo Cystersi o opuszczeniu Ludzimięrza pomyśleć musieli. Rabowano im trzody na paszy, podpalano stodoły. Jak złe duchy wypadali z lasów zbóje, łupili, grabili, szturmowali sam klasztor. Już nietylko w noc, w biały jasny dzień napadali.

I raz, stojąc na murze klasztornym i patrząc, jak pasterzy rozpędzali napastnicy, zawołał opat: Wszelki duch Pana Boga chwali! Patrzcie-no, bracia! Widzicie tego smukłego chłopca tam, na przodzie?! W tym kozuchu, wełną obróconym do góry, ze sękaczem w łapie?! A tam taka młoda dziewczka koło niego, takż w pałkę zbrojna? Na świętą Kunegundę i świętego Remigiusza Patrona! Wzrok mnie nie myli! To brat Augustyn!

— Któregośmy za męczennika mieli?! — krzyknęli księża.

A kościelny zamruczał: Ono sie ta dźwigało, dźwigało, dźwigało...

Potem trapieni Ojcowie Cystersi przenieśli się do Szczyrzyca.

PUDRASOWEGO KUBY ZMARTWYCH-  
WSTANIE ALBO  
JAK SIĘ DYABEŁ JAK WESZ NA GRZE-  
BIENIU POSTAWIŁ



Pudrasów Kuba, teli ino że był prawdziwy Kuba, bo czy był prawdziwy Pudras, tego nie wiedział nikt. Pisał się Kiohut, a wołali go Pudrasowym Kubą, a to bez to: spotkał raz pleban Kubę, co się im dosyć rzadko trafiało, bo ta Kuba czego innego przódziej pilnował, jako księdza, i chciał se z Kubą co nieco przegwarzyć, jak to zwyczajnie dusz pasterz, żeby wiedział, jakich ma parafian. Kuba pięknie księdza pozdrówkał, bo to był greczny chłop i vse, poki sie nie napił, do rzeczy. Pochwalił ksiądz Pana Boga, Kuba samo to, i pyta się go pleban:

\*) — Kuba, je ktos cię też stworzył?

A Kuba nie wiele myślący: Pudras.

— Cóż ty gadasz?! — mówi ksiądz — Nie wiesz to, że Pan Bóg ludzi stwarza?

— Ej jegomość, wiecie — powiada Pudras — to béło tak: sła moja matka niebozycka do Ludźmirza na odpust i za Gubałowskiém zastompil jej wilk. Ale, scyńście, niedaleko bęł krziz — hybaj

matka nań. Wilk se cupi pod krzize, a matka na krzizie siedzi. A jus béla wydana. Jak siedzi, tak siedzi, a wilk ta tys cupi i cupi. Méśli: déj ta przecie jak nie ślezies, to zlecis — to se ino siedź. Ja ta casu mam dość, to se haw zackam. Ale co sie nie zrobiło: idzie od Słodyeków Pudras, co prawie wte za leśnickiego bél w zakopiańskich lasak, a flinte ma bez ramie. E! — wilkowi sie casu urwało. Zabrał sie — nie cekał nic. A matka niebozyeka tys z krziza śleźli — no, i do dziewięci miesięcy ja juz bél gotowy.

— No to co? — powiada ksiądz. — to cię i tak Pan Bóg stworzył.

— Ze dyć, jegomość, jako keecie; kie ta bél krziz, to ta kajsi niedaleko musiał być i Pan Bóg. — mówi Pudras.\*\*)

I Pudrasowym Kubą był ten Kuba od Kohutów do końca.

Chłop to był świecny, ino że pił. A kiedy się napił, nijakiego pomiarkowania nie znał.

Szedł raz ze swoim krewnym, Wojtkiem Kobylakiem z Cichego, z kądsi z dalsza z Węgier, gdzie przy drzewie robił, bo to był syktarz nad syćkich, i wstąpili kęsi na Orawie do karczmy. Piją, Kuba se przispiwuje, jak to on miał zwyczaj, kiedy pił:

Napij się gorzołki jak mos turok jaki,  
jak niemos turoka, napij sie z potoka!

---

\*\*\*) Ustęp w gwiazdki zamknięty jest przystosowaniem góralskiego oryginału, który tu się kończy.



i gwarzą o tem i o owem. Od gwary do gwary powiada mu Wojtek:

— To stajanko pola pod lasę wysy mlyna po ciotce to sucy mnie a nie tobie.

A tam Kuba zaraz od śmierci ciotki orał i siał.

Zaczerwienił się Kuba od złości i powiada mu: Coz plecies? Dy to moje, bo mi destamente ciotka zapisali.

— Twoje, boś se wzion, ale ta w destamencie inacy stało.

Wojtek ta byl zawsze taki sysoła i sysoła, ale trafił źle; bo na taką zaczepkę Kuba, jak siedział za stołem, gruch go w łeb flaszką, a flaszką była kanciata, do tego pełna; uderzył w skroń i zabił. A pijany strasznie był kiedy już Wojtek leciał z ławy, jeszcze mu rąbanicą poprawił w ciemię, że aż krew na pośród karczmy śkla z głowy. Zwalił Wojtek stół na ziemię lecący bez ducha, a Kuba dopiero postrzóg, co nie zrobił. Jak skoczy, jak załamię ręce: O mój Wojtuś kochany! Cok ci tés zrobié! Cok ci tys zrobié! O niescęsno ta wódka! Niescęsno je tys!

Lamenci, a Żyd, co go prawie za szynkwasem nie było, kiedy się to stało, hałas usłyszał i dyabli go z komory wywiedli. Kuba jak był pijany, jak krzyknie: Kizby to dyabli byli, ajby byli co by sie krześcijańska krew oźliwała, a pogańska nie?! Łap za rąbanicę, hip do Żyda, a Żyd we drzwi, ale nie zdążył; u progu go Kuba zarąbał. I jak



się rozjadł: zabił Żydówkę i troje bachorów żydowskich, zrąbał czysto pięknie stoły, ławy, łóżka, powalił piece, dobrze ścian nie rozniósł. Bo Kuba był chłop nie słaby. I wywrton się z tego wszystkiego popod karcznię i zamglał.

Karczma była obdalno ode wsi, nie naszedł ja-koś nikt i Kuba tak leżał do rania na drugi dzień.

Kiedy się zbudził, dopiero widzi, co sprawił. Leci naprzódzi do Wojtka, obacuje go — darmo. Wojtek nieżywy. Żyd — to samo i Żydówka i Żydzięta. Trupy i trupy. Nie doobacował się nikogo.

Nie długo namyślał Kuba: poszedł ku lipie, co hań stała, wyciągnął pasek z portek, założył na gardło i powiesił się.

Dopieroż leci dyaboł, co już od dawna na Kubę strzóg, a ledwie je rad. Bo to przecie z takiej duse, co nic nie robiła za życia, ino piła, a biła się, a na koniec pięcioro ludzi, choć ta Żydów w tem styrok, zamordowała, będzie w piekle by na trzy dni uciecha. Leci on z jednej strony, ale i janiół stróż Kuby z drugiej. A janiół Kubę raz widział, bo mu przedtem przez sto lat za jakomsi karę kazali starych bab pilnować i to mu ino śmierdziało i cło mu się przy nich strasznie, a z Kuby miał ozrywkę. Przytem Kuba pięknie śpiewał i janiół go rad słuchał.

— Je trzysta ci w gardle dziś! — biadka janiół. — Je coześ ty porobił?! Teli naród wyzabi-jać! Ja ci tu jus heba nie nie poradze. Dyaboł cie weźnie.

I stanon se z boku, nieśmiało, a dyaboł widły ryktuje, czeka, tylko dusza z Kuby wylezie. A ta już widziała, że niepeć, i dzierży się ta jeszcze w grzdyce jako może, ze strachem wielkim.

No ale cóż — coraz ciałniej, musiała wyjść, co ci się już ino na końcu języka trzymała, bo ją wypchało. Ale w te razy idzie Pan Jezus ze Świętym Pietrempawłem, co właśnie wtedy świat obchodzili. I spostrzegł wisielca i dūchy przy nim i gwarzy do świętego Pietrapawła: Cosi sie hań stało. Podźmę zajźréc. Janioł, widzem, po boku, cosi hań źle.

Pan Jezus taki wartki, jako kee, w ocymieniu hań jus bël, a Pieterpawel tys ta za nim, kieniekie, jako zdolał, doleciał.

Pyta się Pan Jezus: Co to?

Djaboł mu się strasznie pięknie pokłonił i gwarzi: Przenajświętsy Panie — tak i tak.

— No, to jego prawo, dyabłowe — mówi Pan Jezus i obrócił się ku Świętemu Pietrowi i powiada: Skoda duse.

— No jużci prawda, skoda — powiada święty Pieterpawel — ale co robić? Darmo.

Ale janioł, któremu Kuby strasnie luto było, pokłonił się zaś znowu Panu Jezusowi i powiada: Panie Jezu, królu świata! Zabiël ci Pudrasów Kuba Wojtka Kobylaka z Cihego, ale to wódka zrobiła, a wódke zrobił dyaboł. A co tyk Zydów, to zabił tylko od żalu, ze sie krześcijańska, w Twoje

przenajświętsze Imie krzcona krew oźlała, a pogańska by sie niemiała oźlać? To ino jedno drugiem wypłacić kciał.

— Hm — zamyślił sie Pan Jezus i patrzy na świętego Pietrapawła, bo mu wierzył. A święty jako święty, z dyablem nie będzie trzymał, ino z janiotem. Nie śmie się nic odezwać, ale ta też nie dokwaluje nic nijako.

Dopiero, kiedy się go Pan Jezus spytał: Coz myślis? — powiada: Ano, mam poprowadzić rzec, to i to, co ten janiot gwarzi, nie bzdura.

— Hm — kiwie Pan Jezus głową, a Święty Pieterpawel, kiedy już widzi, że się Chrystus Pan namyśla, zaraz dalej: Ze wódke wrodoś dyabol zrobił, no to wiemy, Panie, Ty i ja; a ze Kuba i po pijaności o Twoim przenajświętszym Imieniu myślał, to nie grzyk, ba cnota.

— No to jakoz bedzie? — gwarzy Pan Jezus — Darować mu? Nijakim świecie — ludzi pomordował. A do piekła go dać mi go zał, bo inacej nie jest, ino tyk Zydów pokrony mojego Imienia wybił. Ale wiem, co zrobiem. Kuba zmartwykwstanie i be jesse żył i dam mu casu odpokutować i jako se zasłuzy, tako mu ta na końcu wyjńdzie.

I trzepnon Pan Jezus w gałąź ręką, gałąź się złamała i Kuba bell! na ziemię. Pasek popuścił i dusza na języku wisi, a Pan Jezus jej powiada: duso grzesna, wracaj do ciała — i dusa zaraz śuchła do gardła, a z gardła dalej.

Ale na diabła aż poty wyszły, bo już dawno kolegom obiecował, że ino patrzeć, a duszę Kuby do piekła przyniesie — a tu wstyd. Jak sie siepnie!

— Ej, wieraześci! — powiada do świętego Pieterpawła, bo do Pana Jezusa nie śmiał. — Wieraześci! Przepytyjem tys bars pięknie Wasom Niebieskom Osobe, ale ta dusa juz béła tak, jak moja i to wiera nie ładnie i dyabłowi wyrządzać! Ja sie haw dość koło niego uzaskakował, kimek go na to przywiód, co zrobiéł. Po darmo to sie i mnie pracować nie fee. A jak mi bedom duse z poprzéd nosa brać, to nieg se ig pote ten do piekła nosi, ci ig biere! Ja sie tu kazdemu niedam z rozumu wywodzić! Bajto!

I telo był napajedzony, ze kie ciupnie kopyte iskry skurzył.

A święty Pieterpawéł jak skocy ku niemu! A ty huncfucie, opacniaku — krzycey — to ci Pan Jezus za kazdego, co?! To ty niewiés, oméltuku jeden, ze wola Tego, co świat Jego?! A naucys sie ty moresu, ty psiakudło, ty bulko wody, ty pół nicego!

I trzask go w pysk!

I byłby go jeszcze nie tak wyonacył, bo sie gwałtownie ozeźlił, a naremny je, ale Pan Jezus się ani nie obejrzał, tylko dalej szedł, tak i święty Pieterpawéł musiał rad nie rad za nim iść. Tylko

się jeszcze za sie oglądał, a co sie oglądnał, to dyabłu pięść pokaził.

Zostali nad Kubą anioł z djabełem.

— No, toś przegrał prawo — pada janioł.

— Bajtoć! — mówi dyabeł. — Niebela nigda ze psa baranina, ino psina. Dobrego karcyma nie zepsuje, a złego kościół nie naprawi. On ta i tak bedzie mój. Ale ze mie tys ten święty Pieterpa-  
weł wycion w pysk! O dwiesta lat nie odpuchne!

— Dobrze ci tak! — pada janioł. — Nie stawiaj sie jak wes na grzebieniu, kieś nie hłop na to!

Parobski wiater dyabeł zrobił i do piekła do Lucypera na skargę się poniósł, a janioł Pudrasowego Kubę skrzesił i Kuba żył pono jeszcze siedmnaście lat kajsi we świecie, bo już do domu nie szedł, boby go ta byli wójcia i przysiężni wypucowali, i pokutował strasznie i pono kanysi w klasztorze umarł i dowutnie do nieba poszedł.

O ZOSI WALCAKOWNEJ





Ledwo tylko pierwsza żona Johyma Walczaka z za młaki zamknęła oczy, zaraz on się za drugą obzierać począł, będąc chłopem nie starym i gospodarstwo mając hrube, które gaździny potrzebowało; i dzieci po nieboszczce zostały, pięcioletnia Zosia i ośmioletni Jaś. Ale macocha, którą z kądś ze Skrzypnego wziął, dziewczka młoda i łakoma, wszystko by była chciała dla córki, którą miała z jednym parobkiem ze swojej wsi, zagarnąć i tak źle usposobiła do tych dzieci męża, że całkiem dbać o nie przestał, majątek cały na żonę i jej potomstwo przepisał, i tylko tego im wydrzeć nie zdołała, co po matce zostało. Ale tego było dobrze jeszcze lepiej, niż ojczyzny, bo pierwszą żonę z okolicznej obory Walczak wziął, od Sobczaków, i to ojcowickę, więc jeszcze i tak bogaci byli niezmiernie.

Byłaby macocha i biła, ale kiedy raz złapała małą Zosię za warkoczyk i w buzię ją uderzyła, a Zosia zaczęła płakać: Jaś sajta z pod pieca tak macochę zdzielił przez rękę, że jej jak martwa opadła. Zawrzała, porwała za pucę i rzuciła się

ku Jasiowi, ale ten stał śmiało ze sajtą w ręku, nie ustąpił, a oczy mu się tak zjarzyły, że sie przelękała naprawdę. Jak go nie zabijem — pomyślała — to on mnie... A jakby nie teraz, to jak dorośnie...

I nie śmiała go uderzyć, a Jaś do niej wtedy: Wiécie, jakbyście kie jesee tkneni Zosie, to wam syćkie zemby skałom wybijem, a wasom Jagnisie z kołyski wyjmieni i dom świni zjeść.

I od tego czasu iskrzyła sie baba złością na dzieci, wymyślała, przezywała, ale bić nie śmała; a więcej jeszcze nienawidziła Zosi, niż Jasia, za to że była ładniejsza od jej obu córek, tej z parobkiem i drugiej z Walczakiem.

A że dom Jehyma z za mlaki stał obdalno ode wsi, Jaś i Zosia ze sobą tylko najwięcej byli i strasznie sie to rodzeństwo kochało. Mało kto kiedy jedno bez drugiego widział. Jaś by się był dał za Zosię porąbać, a Zosia by sie była dla Jasia we wodę cisła.

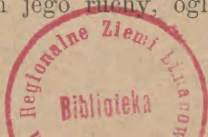
Tymczasem oni rośli i wyrośli. Jaś na parobka, a Zosia rosła za nim na dziewczkę. Podobni byli na siebie, jak ulał, i ładni, jak to we Walcackim rodzie: chłopcy śmigłe, zgrabne, hardej postawy, noga prosta, stopa mała, taneczniczy pierwsi, a na twarzy przystojni, suchej urody; dziewczki samo to, błękitnych dużych oczu i różanych ust, jak kwiat.

Pewnego razu, do karczmy na Ustupie, gdzie Jaś tańczył, wszedł Capek z Capkówki, z obcym

chłopen, ogromnej postaci, z włosami dobrze niżej ramion spadającymi, z twarzą w bruzdy poraną i szeroką rysą od topora przez prawe lico. Wmig zrobiło im się miejsce za stołem; uchylił się każdy. Bo to byli dwaj słynni zbójnicy, Izydor Capek z Capkówki, po zbójceku zwany „Koziar“, i Maciek Nowobilski, sołtys z Białki, zwany pomiędzy zbójnikami „Prawo“, jakby na despet, a między ludźmi Krzesaty. Siedli za stół i kazali sobie dać gorzałki. Wypił „Prawo“ półkwaterek blaszany i obrócił na stole dnem do góry, ale jakos żaden z siedzących za stołem tego samego nie uczynił. Odwrócił się Maciek z lekkim ruchem lekceważenia i wzrok jego padł na Jaśka Walczaka, który tańczył. A właśnie tańczył on hajduckiego i muzyka grała mu:

W sirym polu,  
w sirym polu,  
stoi lipa zelena;  
z pod tej lipy,  
z pod tej lipy,  
idzie woda studzena.  
Wto tu wodu,  
wto tu wodu,  
pic budze;  
myrha zienku,  
myrha zienku,  
mieć budze!

Popatrzył Maciek mimochodem, ale wnet wzrok mu się ożywił i na chłopcu zatrzymał. Okiem znawcy śledził on jego ruchy, oglądnał naprzód



nogi, potem pierś i ramiona, potem głowę. Patrzył i parę razy pokręcił głową. A Maciek Nowobilski „Prawo“ głową nie bardzo kręcił, bo on znał świat od Budzyna po Kraków, znał siła narodu, a w tem chłopów, którzy, kiedy powstali, to sie zdawało, że świat ozniesom. A i sam do najprzedniejszych należał, siłę miał wołu, a zręczność i lekkość sarny jeszcze i dziś, choć już blisko pięćdziesiąt lat liczył. Więc kiedy on nad Jaśka tańcem głową pokręcił, to to jus wej bół toniec!

I pyta sie Capka, skazując ruchem czoła: Cos to za jeden?

— Johymów Jasiek, za młaki.

— Swarny hłopiec.

— E dy tu niémas lepszego, krzesny ojce.

—Kaz mu isć na karcyme. Niek uwazuje, kie dwa razy tyrkne półkwatere w stół.

Jasiek taniec skończył, podsunął się ku niemu Capek i co mu Nowobilski poleciał, powiedział. Zabiło i ucieszyło się Jaśkowe serce, bo że to Krzesaty Nowobilski nie wiedział, ale imię jego znał i czeił, jak czeić potęgę należy.

I stanął za karczmą przed Nowobilskim, czerwony od wrazenia, choć zawsze blade miał lica, i aż dygotał, tak mu serce biło. A Nowobilski jeszcze raz uważnie mu się przypatrzył, zmierzył okiem jego wzrost wysoki, szerokość ramion, piersi, wcięcie w stanie — i ozwał sie:

— Hłopiec, selbyś ze mnom?

— Zje ka?

— Poza bucki.

Zajarzyło się Jaškowi w oczach. Mało nie oparł się plecami o ścianę. Takiego honoru w życiu się nie spodziewał.

— Sełbyś?

A Jesiek uchwycił Krzesatego za rękaw od cuchy i pocałował go nizej łokcia.

— Pude — rzekł.

— Dobre. Git. No to go ty, Capek, przyryktuj. O piené dni idziemé. Ciupaga, nozy, piscolce, torba. Co ci hybia, to ci damé. Aleś ty nie z płonego gazdostwa, to sićko musis mieć. Odzienie piękne, to, co dziś. Ja ide teraz do Słodyków, bo mnie hań strasnie pięknie pytał kiejsi Józek Słodyeka na burse, co jom dziś robiom. Ostań s Pane Boge, Capek. Bydź zdrowy, hłopce. Ale to wiedz: próba bedzie. A ciho!

Jasiek już nie wrócił do karczmy; siadł po za nią na zwałonym pniu, a w głowie mu się zawracało. Werbował go do swojej bandy Maciek Nowobilski, on, charnaś nad charnasie... Jakaż to musi być moc, skoro on samemu Capkowi, który ma już więcej, niż czterdzieści lat, a przed którym świat się trzęsie, mówi: *ty!*... A i próba wstrzymywała mu bicie serca w piersiach.

Przez cztery dni nie Jasiek nie robił, tylko z kim mógł, za pasy szedł, skakał przez płoty i potoki, za psami się uganiał, ciupagą gałęzie w locie ob-

cinał. Zdawało się, że zwaryował. Głupie cy co? — zapytywali się sami siebie ci, co go widzieli skaczącego i biegającego.

— Abo o zbójctwie mészli?

— E, teli majątek ma. Zje po coż by ten seł kraść? Heba by jemu wto ukraść prziseł.

— Hej, ale hłop zdrowy, mocny, to go matura biere.

I piątej nocy od widzenia się z „Prawem“, zniknął Jasiek i nie powrócił aż we dwa tygodnie. Próbę odbył świetnie.

— Dojńdzie nas wsyćkik w syćkiém — ocenili zbójnicy. — Héba wasej siéły, „Prawo“, mieć nie bedzie, bo takom siéłom to zaś Pan Bóg z rzadka kogo pozegna.

I przez dwa lata chodził Jasiek ze zbójnikami. Dostał on przydomek „Młako“, od tej młaki, co za ich izbami była, zbójnicy go lubili bardzo, choć traktowali trochę z góry, bo wszysej byli starsi, i najmłodszy, Stasek Mocarny, miał już dwadzieścia siedm lat, a wszysej wiele dali dowodów męztwa, rozumu, chytróści i siły, od ośmiu lat związani w bandę pod wodzą Maćka. Z tej bandy, liczącej ludzi sześciu, bo więcej uważał Nowobilski za niedoskonałe, ubył Juro Osterwa, rodem ze Śpiżu, młody kawaler, którego zdradziła jego kochanka, niecna Kaśka z Bustryku. On to ułożył tę gorzką piosnkę:

Moja freirecka dobrze nie zamglała,  
kie mie przišli łapać, sama powróż dała...

i tę smutną, tragiczną pieśń, którą powszechnie  
śpiewali zbójcy:

Wiedom ze mie, wiedom, coz mi robić bedom?  
Wiedom mie ulicom ku tym siubienicom!  
Matko moja miła, cemuś mnie nie biła?  
Cemuś mie nie biła, robić nie ucyła?  
Matko moja miła, cemuś mnie nie biła?  
Kie mie wiesać pudom, budzies sie hańbiła!

Ale znowu dziewczki, biorąc stronę opuszczonej  
przez niego, mściwej potem Kaśki, śpiewały:

Kieby mnie tak beło, jako tobie, Juro,  
nosiłaby jo se za kłabucke pióro!  
Dobrze tobie, hłopce, pod trusim pióreckem,  
ale mnie niedobrze z małym dzieciątekiem!

Na jego to miejsce od roku już poszukiwał Ma-  
ciek Nowobilski zastępcy i znaleźć nie mógł. Nie  
każdy też, choć tęgi i śmiały chłop, miał ochotę  
ku Maćkowi przystać, bo tam: nogi trza béło mieć  
ze zelaza, u ramion skrzidła, grzibiet ze stali, ren-  
ce z mosiondzu, a głowe z miedzi z pięci okna-  
mi — co znaczyło, że trzeba było być wytrwałym  
w chodzie jak wilk, szybkim jak jelen, silnym,  
jak niedźwiedź, a czaszkę mieć nietylko twardą  
na wszelkie przygody, ale i na cztery strony  
świata nie dość było spojierać i być czujnym.

Trapila sie Jaśkiem Zosia. Bo ona była po-

bożna bardzo i wbrew innym dziewczętom brzydzą się zbójectwem. Michała Stanika narzeczonego, który się w niej kochał i ku któremu ją serce rwało, że dobrze z piersi nie uciekło w Polany, gdzie Stanik mieszkał, widzieć przedtem na oczy nie chciała, póki kradać nie przestał. Stanik zresztą nigdy prawdziwym zbójnikiem nie był, tylko czasem, kiedy nie kiedy z krewnymi z dwoma Pitoniami i ze Szymkiem z Sikoniówki byczki Orawcom podbierał, a i to ją mierzało, i tego znośić nie mogła. A Jasiak był cały zbójnik i po darmo on ciupagi nie brusił, przy pistoletach krzesiw nie opatrywał, nim z domu ruszył.

Ojciec się do tego nie wrażał, a macocha radaby była tylko, żeby Jasiak nie wrócił, boby wtedy za wszystkie lata, przy pomocy córek Zosię naprzód dobiła, potem z domu wygnała, a może by się ją i tak czy inak i z majątku wyzuć udało.

I modliła się Zosia dniami i nocami o nawrócenie Jaśka i za jego zbawienie i to jeszcze większą pobożność w niej rodziło. Ale nigdy Jasiak nawet z nią nie mówił, gdzie chodzi. Bolało to Zosię niezmiernie, jednak jej dumne serce nie pozwalało gwary z Jasiem zaczynać. Jego zaś młoda dusza radowała się sławą, jaka koło niego rosła, podziwem i zazdrością, z jakimi nań spoglądali chłopci, uwielbieniem i upragnieniem, z jakim nań patrzyły dziewczki. Jedynym cieniem tej sławy było



to, że czuł, że Zosia się martwi i jeszcze okrutnie, — ale się przepzeć nie mógł.

Ale razu pewnego, jednej nocy czerwcowej, przyśniło się Zosi, że widzi głowę Jaśka toczącą się po skale, od szyi odrąbaną. I przytoczyła się ta głowa pod jej stopy, zatrzymała chwilę i spojrzała na nią, jakby coś powiedzieć chciała a nie mogła, i potoczyła się od jej nóg w przepaść i zginęła w ciemnościach.

Ten sen, który nieochybnie złe znaczył, tak przeraził Zosię, że mówić z Jaśkiem postanowiła.

Siedzieli właśnie za izbami, w sobotę pod wieczór, i patrzyli ku góróm. Trawa ich oblała zielona i zieleniły się nad nimi olszyny i osiki, jasionie i jawory, co koło domu po za ściany rosły. Niewielki potok szumiał bystro pomiędzy krze, nim w młace zatonął, a na młace niebieskie niezapominajki kwitły kępkami i wiele żółtych i czerwonych kwiatów. Łąki też, jak okiem sięgnąć, jaśniały kwiatami, a złociły się w słońcu radosną zielenią. I lasy stały młode, wiosenne, ogromne bory, nigdzie nierąbane, gdzie oczy tonęły, jak w chmurze. Dopiero z tej wielkiej, całej widnokraż zaścielającej czerni niezgłębionych borów, wynosiły się ku niebu Tatry, jeszcze śniegami gęsto poprószone, bo tego roku długo śnieg leżał, Tatry podobne do niezmiernych zwałów siwego marmuru. Już różowe, fioletowe i złote światła osypały im głowy i ramiona — już słońce zniżało

sie na niebie najpierw góry żegnając ogromnym blaskiem.

Tymczasem z drzew brzmiał cudny śpiew drozdów skalnych, które zwykły o świcie i o zachodzie najpiękniej śpiewać, śpiew tak cudny, że rzekłbyś, iż duchy leśne o zielonych przeźroczystych skrzydłach, wisząc na gałęziach, słońcu na chwałę gwizdają.

Jaś i Zosia siedli obok siebie na progu i patrzyli ku górom. Zosia Jaśka za szyję objęła, drugą rękę na rękę mu położyła i mówi doń: — Nie hojdzę juz, Jasiu, więcyl ś niemi, nie hojdzę! O głowe przydzies, abo i co gorzyj o duse, o zbawienie. Mój złociusieńki, mój kochany, nie hojdzę! Cy ci to trza? Biędzy, dzieńkować Panu Bogu, na nas niéma, dziewczki cie i tak rady widzom, samy za tobom ciągnom, je coz ci tys za niewola z wesołemi chodzić? A grzyk! Hej, Jasiu, grzyk i obraza Pana Boga. Wiés, jako to wysło strycnemu dziadkowi, Jantoskowi, co dobrym hłopem bywał? Do dziśka nik niewié, ka głowe położył... Przepad kajsi, jak kamień we wodę, a tak padajom, ze go może i złe porwało. Bo ta s tej wesołości zbójeckiej nie! Ku wesołym przistał — padajom, a on ku przeklenty. Déj to krziwda ludzka, złodziejstwo, krew. O mój Jasiu, Jasicku, nie hojdzę tys więcyl ś niemi, nie hojdzę, Bo jus cujem, ze dziś a jutro kees isć. Widziałak cie rano nóz ciścié i piscołce opatrzować.

— Je — przerwał jej Jaś, — kie ty temu nie rozumiesz. Dziewka i dziewczka — jedno, a drugie, bo pojedna toby sama za bucki hipła, dziewczkaś śmna, co raty, Walcacka cysta, ale ześ ty jakasi taka, co drugiej takiej niema. Nie odnogaś od rodu, bo ci nie mas co prziganić; jyno ze serce w tobie nie naskie. Nijakiej hardości w tobie niema. A'pote ty temu nie rozumiesz, jakok ci pedział.

— Zje cemu, Jasiu, zje cemu?

A on pomilezał jeszcze trochę i rzekł:

— He, wiés, kiebyś ty jéno raz sprógowała! Kiebyś ty jyno raz poza Tatry przesła, w Luptów! Tam kraj! Tam wino, tam jasno, tam radość! Tam śrybło, tam złoto, tam seliniejakie dobro, jyno brać! A pote, kiebyś ty jyno sprógowała...

I począł Zosi opowiadać o szerokim, nieporównanym zbójeckim żywocie. Owe przepatrzowania, prześpiegi, gdzie jaki Żyd, kupiec, albo bogaty kmieć dudki, złote dukaty, śrybelne talary i ewancygiery, albo woły, byczki, albo sukno, płótno gdzie w komorze, czy w sypańcu, czy w piwnicy, albo na strychu po Liptowie i w Orawie ma — owe podchody i przykradania, — owe wyrywania krat z okien — owe skoki szalone przez okna na pośród izby i rąbania ciupagą koło sobie, póki drudzy nie wyważyli drzwi — owe walki straszliwe na śmierć i życie.

Raz przyszłimé pod jedne karcyme na Orawie, ale mé se źle obrali dzień, bo mé prawie na we-

sele trefili. Patrzymé — świeci sie, hoć noc. Zje kizto sto satanów, co nie śpiom? Ja sie przykrad popod okna, wracam sie i mówiem co jest. Ze hań tego ogawa. A nas, jak zwyczajnie, jyno seści. Wracać sie nam nie kciało, bo mé telom dal, jaze za Kubin zašli, a iść hań jakoz? Narahowalek Zydów z pietnastu, a co bab!

— Wróćimé sie — pada Nowobilski.

My sytka cicho, a Capek: Je, krzesny ojce, — bo on go tak rad nazywa — krzesny ojce! Wto cd strafu umiéro, temu bǳzinami dzwoniom. Ja hań ide sam. Ja tys rzeke: i ja z Capke — i Stasek Mocarnego za mnom. A Nowobilski sie śmieje i pada: Dobre! Git! Ja was ino sprógować kciał, aleście, widzem, hłopy grzecne. Widzieliście mie kie wracać sie? I rusel naprzód, Capek se przygwizduje na zębak, a Nowobilski przyśpiewuje tak:

Poprow se, dziewczyna, wioneczek na głowie,  
a jo kapelusek, kić pude ku tobie! —

to my jus wiedzieli, ze hań cosi bedzie. Bo on, ten Nowobilski Krzesaty, to je taki: dziecko kie na dródze spotka, ugwarzi ś nim, podniesie go na reneak, ubóška, a psa, kota przy nim nie bij! W karcymie sie tys bił nie bedzie, zaraz idzie do pola. Bo taki musi być taki. Ale kie na to przydzie, renee nogi druzga!

Stasek Mocarnego miał hipnoné bez okno, jak sie krata wytardze, ale mu „Prawo“ pada: Nie

skakaj, bo hań tego bula. Ino prosto we dźwirze i idziemé, ozhuziamé kłot, to puscom, jak som jest zaparte. Zyd, wiem, ze piéniondze w kómorze ma, nie ka inendej. Wleziemé wraz. Ale Mocarny: ó mój krzesny ojce, — bo my mu ta sytka case tak mówili — nie róbcie mi tys tego, cobyk bez okno niémiał hipnonć!

— Hipnem!

— Kie cie przisiendom, bo to éma.

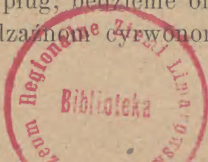
— Jako fcejom!

— No to se hipnij!

Zajndziemé pod okno, śmiało, Nowobilski miał nowom huste lnianom namoconom, strzelił w okno z piscoleca, coby Zydów odegnać, syba w te razy prysła, założył huste, zakręcił — wyjahala krata w pole. Lemze jyno wyjahala, Mocarny obu nogami juz bćł na pośród izby. Ja nie wielo pytający, za nim i dobrze, zek obuhe od niego nie dostał, bo wzion śmigać koło siebie, coby nik nie przistompil. A temcase tamci našli kłot, ozhuziali, bełł we dźwirze, wybili i wpadli do izby.

Zydy sie osatały, łap có wtory moze. Zacena sie pucka. Zrazu sie widziało, ze nie przewładamé, bo béło przecie prawie po troje na jednego. Zydówki brzejscom, a bijom, co cud i drapiom i kajsajom.

Ale Capek sie ozeźlił straśnie. Jak krzyknie: pockajcie, jest tu plug, bedziemé orać! Łapił hrubego Zyda z dludzańnom czerwonom brzodom za



leb i za portki na rzyci i wzion bić, jak cepami, a Zyd miał podkute buty, tos to kie wtorego dopad obcase, to sie tén zaraz skopyrtał na ziem. A kie jus nas popuścili, dopiéroz Mocarnego Stasek skakał tak, co ig w brzuchy pientami kopał, bo on ten štuke strasnie rad pokazował. A my drudzy obuhami bili, teli był łom, jak w lesie. I zeprali mé ten halastre na kupe i wegnali do giwnice, prawda nie syćkik, bo sie ta trzok weale nie rusalo, a jeden niebardzo. Ino arendarz został. Daj piniondze — pada Nowobilski. — Nie! — Nie? — Nie! — Je kie nie, to nie. Zezuć go! — krzyknon. My w mig. Daj kaganek! Nowobilski piók, sadło kapalo z pient, a Zyd sie przyznać nie keiał. Ale sie przyznał na ostatku, w komorze bély pod dylami. Do kości mu ciało Nowobilski spalił, a fajke se kurzéł, coby mu nie śmierdziało. I wzieni mé piniondze i co ka béło i idziemé, bo sie juz zrobiło zracno, bo nas ta bitka zbawiła. Ino telo, co Nowobilski skocél do sopy, siad pod krowe i nadojél zydowskim dzieciom, co sie popod ławy pokryły, mleka na rano. A mé zaś jesce šeigli arendarza za pejsy i za rękawy do dźwirzy przybić. Idziemé, Capek se przygwizduje na zembak, a Nowobilski przyśpiéwuje tak, na takom załośliwom nute:

Dolina, dolina, na dolinie owies,

jak sie mos źle wydać, to sie lepi powieś...

A Mocarny s torbom, co moze cent wazyła, na plecak, tańcy po kamieńcu drobnego, a krew mu sie ciurecke leje z głowy, bo go ta wtorysi godnie zacion. Ino ze na ziem nie kapie, bo na torbie ostaje, to sie ta o to nie starał. Bo o to sło, coby ślaku nie dawać. Ale mu Capek zalał gorzałkom pote i to ustało.

— I nie słabyś ty ku takim, co?

I opowiadał o owych ucztach u juhasów na hali, gdzie sie całe barany w mleku w kotłach warzyły, a gorzałka lała strumieniami; owe tańce z juhaskami i noce miłości zapamiętałej — i owe dzikie pustki, gdzie tygodniami nieraz leżeli koło ogniska, w niedostępnych borach, czas skracając śpiewem i opowieściami.. A dokoła wolny świat — nic, nic, tylko siła, odwaga, zręczność... Bóg nad nami, a ciupaga i piscolce w garzei... A haw, na dolinak, co? Orba, kośba, drwa z lasu woź — — e!

— Bóg nad wami, ale djaboł przy was — rzekła Zosia.

— Nie. Nowobilski pada tak:

Panu Bogu nie rzec zbójnikowi na zdradzie stać, bo kieby bël sytkim do równości dał, toby tys ta nik nie u drugiego nie sukał. Wilk ji sarnę, sarnę męk skubie, a strzelec wilka zastrzeli. To jest porzondek Boski. A pote coby kowal zarobił, kieby zbójnika nie bęło? On robi kraty i zamki. A muzyka? Komu by grał i od kogo by dudki wzion? A karcmarz? U jednego sie zrabuje, u dru-

giego sie przepije. A wiater halny, co drzewa łamie? Ruk na świecie musi być. Jakby wiatru, ani zbójników nie béło, toby sie świat zastał.

— O nie tak, mój Jasiu, nie tak! Nowibilski nie słuśnie gada. Pan Bóg sie gniwa i Matka Boska ś Nim, A ja cie prosem i zaklinam, na pamięć matki nasej niebozycki, na sytkie świentości, nie hodź ze zbójnikami, nie towarzys ś niemi. Rence ci całowała bede!

I schyliła sie do rąk Jaškowi, ale on ją odsunął lekko.

— Je ale coz cie tak dziś susy? — spytał.

— O, bok śnisko miała, strasecne śnisko, tyj nocy. Śniło sie mi, jeze sie twoja głowicka potoczyła z wirhu wedle mnie do przepaści.

— Bajki!

— Nie bajki, Jasiu, nie bajki! Piekło pod tobom otwarte, djaboł cie weźnie!

— Je to z towarzisami. Ja ig i hań nie opuscem. Jeden za sytkik, sytki za jednego. Takie prawo zbójcekie.

— Umrem, Jasiu, skróś tego... I juz by tak najlepszi béło...

I poczęła Zosia płakać ciężkimi łzami.

Siedział Jasiek chwilę i powiada:

— Honor daje. O zbójnikowi nik nie powie, jyno: honorny hłop!

— Je dy ta mas tego honoru dość! Sytki wie dzom, ze cie za dwa jus roki mało co w doma



uświacy, ba jyno hodzis i hodzis. Hyr o tobie jaze na dziedziny!

— Dziewki rady widzom.

— Ony cie ta i przez tego rady bedom widziały. Bogatyś i ładnyś. Niémas równego ku tobie w całym widyku. A Broncia Firkulina jus zdrowa; pedziała mi, ize cie wdzięcznie na sope ku sobie kazdego casu puści. Ino idź.

— E, nie bedzie ta, bedzie ina. Ja tego mam dość. Jak sie mi o co oshodziło, to imo o tobie.

— Hej Jasiu! Nie kohas mie ty, nie kohas!

— Ja tobie nié? Zej kogoz byk juz więcył na świecie kohać móg?! Tyś mi jedyna, siostrzycka!

— Nie kohas mie ty, Jasiu, nie kohas, kie mie na poniewirke kces dać!

— Ze jako?

— Bo jak byś ty ka przepad, to mie macoha bedzie bić.

— Tobie?!

— Włosy mi wytardze, lica mi podrapie i do pola mie wyzenie, z rodzzonego domu, z ojczyzny...

— Dałby ja jej! Na strzępki byk ozniós!

— Pokiel, jeś zyw. Ale wiés: zbójnikowi dziś a jutro. Ty o duse przydzies, a ja o dole. Bedzies widział, to ani tobie, ani mnie nie minie.

Zwiesił Jesiek głowę ku ziemi.

— To jest prawda — zaczął po chwili niskim głosem — to jest prawda. Wesolo, ale niepewno. Cłek nika nie prześpiećny. Kiela dobryk hłopów

wygineno... Za mojej pamięci jus zgineni Mardulowie, Franek i Wojtek, zginon Symek Tyrąła, zginon Maciek Kubiorek, Janko Nowobilski, z Maćkowej bandy Osterwa ze Špisa, a jesce prendzej Franek Budz, co go na Orawie hłopi powiązanego potela bili, jaze zabili. Zginon ta kiejsi i z naskiej famieliji jakisi Jendrek Walcak, co go nazywali „Senk“, albo „Mara“. A kie Capek zanie opowiadać! Kościami dobryk hłopów — pada — co ig obiesili po Mikułasie, po Nowym Targu, na Zamkak, a co ig zatrzelili, abo i kołami zatłukli, tobyś móg — pada — Dónajec wyburkować! To jest prawda! I kieby ja zginon, to ty — —

— O mnie nie! Tu o twoje zbawienie idzie!

— A mnie drogsa twoja doła, jako moje zbawienie. Kie se pomysle, to jaze mie ingli... Jakbyś ty na poniéwierke ludziom miała iść... Wode ka nosić, abo drwa rombać... O raty, raty!

I wtulił głowę między ręce.

Długą chwilę siedzieli bez słowa, aż Jasiek rzekł:

— Przisienganyk.

— Jakaz to ta przisienga? Komu?

— Przed nabitym piscołce z odwiedzionym kurkem: na wierność towarzisom, na posłuszeństwo charnasiowi.

Zosia plasnęła w ręce.

— Przed piscołce, ale przed krzizem nie!

— Je, ale co przisienga, to przisienga. Nie

przed krzize stary Stękała djabłu sie podpisał, ze mu grunt da za to, co mu pietnaście lat orał, kosil i żwoził bedzie, a pote dzieci wycenściował konający, to wiés, co sie robiło. Dom kciał djaboł oskurzyć, telo brojél, a do komina krzicał: to moje gazdostwo, bo ja na to pietnaście rók słužél i wiernie! Iścizna wasa, ale grunt mój! Ja se haw bede iskry siał i płomień zbiérał! Lewdy ze go świenconom wodom odegnali.

— No, no. Ale ja mom rade. Ino staj! Puźciemé do Ludźmirza do Matki Boskiej Cudownej. Ona cie hań ozgrzesy.

— Ozgrzesy?

— Ozgrzesy i ozwiąze.

— A tobie jus nie bedzie macohy bojno?

— O nié! Nigda! S tobom ja wsędyl śmiała!

Pomyślał jeszcze Jasiék chwilę: No, to pódź! — powiada.

— O mój Jasiu! — zawołała Zosia i uwiesila mu się na szyi.

I nim się wybrali, siedzieli jeszcze chwilę przy sobie, oparci o sie głowami, a na Tatry padał mrok.

— Kie majom przyńśé?

— Jutro.

— No to lećmy.

— No to lećmy. Jus na jutro nie bedzies ik, ba mój i Boski. Na rano zalecimé, wysłuhas sie, na sumie bedziemé. Wstawaj!

Wziął Jasiak pistolety za pas i ciupagę do garści od wilka, bo choć to lato było, ale noc, a Zośka wzięła skaplerz, jakby złe w pustkach zastąpiło, i poszli.

Wyspowiadać się Jasiak nie mógł, bo ksiądz był chory, nawet mszy miało niebyć tej niedzieli. Wówczas wzięła Zośka Jaśka za rękę, w kościele jeszcze prawie nikogo nie było, tylko kościelny go otwarł i poszedł do domu, powiodła przed ołtarz, uknęła z nim, i kazawszy mu złożyć ręce jak do pacierza, sama je złożyła tak samo i mówiła, a on powtarzał za nią:

Jo — Jasiak Walcak — ślubujem Ci, Panie Boze, Ojce świata — Tobie, Panie Jezu — Symu — Tobie, Duchu Święty — a nowięcył Tobie — Matko Boza — Maryjo Panno — co jus zbójował — dłuzy niebede — i ostompie — towarzistwa ze zbójnikami — dziś i na wiecne — casy. Ty zaś — Maryjo, Matko Boza — ozwiąz przisiengę — cok jom złożył — przed piscolce — na wierność towarzisom — i posluseństwo charnasiowi. — I przebac mi — grzyhy moje — i zbaw duse mojom — na wieki wieków. — Jamen.

Pomodliła się Zosia gorąco, Jasiak tam też, co wiedział, to pedział, dukata on, talara ona kościelnemu na ofiarę dali i poszli.

Nie mówili przez drogę nic i nic nie jedli, choć dużo więcej, niż dwie mile tam i znowu z powrotem wierchami i dolinami pomiędzy nie biegli.

Zosia się modliła, a Jasiek ze zwieszoną głową obok niej szedł.

Nareszcie ona się do niego odezwała:

— Zal ci?

— Dobrze mi serce nie puknie!

— To większa zasługa przed Boga.

Po chwili mówił Jasiek ze łzami w głosie:

— Jus teraz moje życie za nic! Nie warce nic!

— Uwidzisz! Teraz będzie dopiero łaski Pana Jezusowej godne.

Przyszli do domu. Napili się mleka, zjedli kukielki, co ją na półce Zosia miała i, że zmęczeni i niewyspani byli, legli na pościel, a w jednej izbie sypiali. I choć był jeszcze dzień i słońce wysoko, posnęli i spali aż do wieczora.

Wieczór się Zośka obudziła: ciemno, czarne chmury niebo zakryły, oko wykol. Jasiek spał.

Uklękła Zośka na pościeli, żeby jeszcze Matce Boskiej za nawrócenie brata podziękować, wtem zabrzmiało pukanie w szybę okienną.

Wzdrygnęła się.

Drugi raz zapukano — silniej.

Trzeci raz zabręczczała szyba pod palcami i jakiś głos gruby, tęgi zapytał:

— Młako! Zyjes ta, cy śpis?

Zbudził się Jasiek.

Głos był tak tęgi i rozkazujący, że Zosia usłyszała, że się Jasiek na równe nogi z łóżka zerwał.

— Jasiu! — krzyknęła.

Ale Jasiiek skoczył ku oknu.

— Wy? — zapytał.

— No my! — odpowiedziano mu niecierpliwie. — Cys nas nie cekał? Dyjes wiedział, ze przinǳiemé. Gotowyś?

Jasiiek zawahał się chwilę — krew zalała mu głowę. Ubrany był, bo w ubraniu legł. Skoczył w kąć izby, gdzie ciupagę, nóż, pistolety i opasek z całym przyrządem, prochem, kulami, jak to zbójnik, przysposobiony miał, złapał torbę, kapełusz i czuchę z kołka i wypadł przez drzwi.

— Jasiu! — jęknęła Zosia, biegnąc za nim.

Ale on krzyknął ku towarzyszom: uciekajcie!

Ci też, nie pytając o przyczynę, zaczęli biec, jak dziki spłoszone.

— Co sie stało? — pyta Nowobilski Jaśka. — Wtoz cie goni?

— Siestra!

— Siestra? — E jakoz to? Co kiepkujes?

— Nie kiepkujem nijako. Pote wam powiem!

Ale Zosia nie gonila Jaśka. Z wyciągniętymi przed siebie rękami padła zemdlona w progu izby i tak leżała długo, że już oni popod Kościeliska szli, nim oprzytomniała.

Zawlekła się napowrót do izby, osunęła się na kolana przy łóżku i zaczęła zawodzić po cichu i szlochać.

Całą noc do rana i cały dzień przetrwała tak,

przy łóżku swoim klęcząc, i ofiarowywała Matce Boskiej życie swoje i młodość i miłość do Michała Stanika z Polan i majątek i zdrowie i wszystko, byle się tylko nad Jaśkiem zmiłowała, nawróciła go, grzechy i ten najstraszniejszy, złamanie ślubu przebaczyła.

Nadszedł wieczór i noc. I wtedy nagle przed oczyma Zosi pojawiła się postać Jaśka, w poszarpanej odzieży, blada i krwawa i jak gdyby nie mogąc mówić, ręką na nią kiwnęła. Krzyknęła Zosia: Wselki duk! — i zerwała się z ziemi, żegnając się krzyżem świętym, ale postać podsunęła się ku drzwiom i znów kiwnęła ręką.

Jasiu!

Tyś?

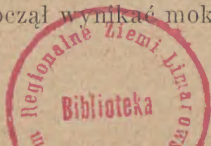
Jasiu! Bracie! Bracisku najmilejsy!

Po raz trzeci widmo kiwnęło ręką i zniknęło we drzwiach.

Jasiu! Kaz idzis? Co nie nie mówis?! — krzyknęła Zośka, wypadając za nim:

I szła za bratem przez pole, w las — — dalej i dalej, wołając od czasu do czasu: Jasiu! Bracisku!...

Las, który znała, skończył się, a zaczęły się bory przepastne. W ciemności szła, a widmo ją wiodło przez gęstwinę, przez kłody spróchniałe odwieczne, przez maliniaki i głogi, wiodło pośród przemykających sarn i kun leśnych. Aż gdy ledwo, ledwo zaczął wynikać mokry, biały świt, do-



wiodło ją na pochyłą polankę, między skałki wapienne.

Tam rozkrzyżowała Zosia ręce i z zamartym wrzaskiem na ustach stanęła u wyjścia z pomiędzy drzew. Na polance, na rośnej trawie, leżał Jaśka trup. W ręce trzymał ciupagę. Leżał sam jeden, samiutki. Kapelusz mu się potoczył niżej, uboczą.

— Jasiu!

Przypadła Zosia ku niemu, dźwignęła ciężką, zimną głowę. Oczy miał półotwarte, zaszkłone. W piersiach mały otwór i pod nim zaskrzepłe trzy strużki krwi.

Wszystko to zapisała pieśń:

Zabili Jasička na zielonych łukak,  
cemuz sie nie bronił, miał ciupazke w rukak?  
Zabili Janicka w zielonej ubocy,  
jino sie od niego kapelusek tocy!  
Zabili Janicka między turnickami,  
leje sie krew ś niego trzoma potockami!...

Runęła Zosia na ciało i całować je jęła — oczy, twarz, piersi...

I zdawało jej się, że się jęczenie wydobywa z ziemi.

Zrozumiała ona, że to dusza Jasia się męczy i krzyknęła: Matko Boska Ludzimirska Cudowna! Sytko ci dam, jyno cybyk duse bratta zbawić mogła! I z piersi jej, ze samego serca, wyleciały trzy białe gołębie: wiara, nadzieja i miłość.



Trzy białe gołębie, które mieszkają w każdym młodem sercu...

Strzelcy orawscy, co tam szli, znaleźli ich oboje: chłopca nieżywego i nad nim dziewczynę piękną, niemówiącą nic i jakby niesłyszącą. Obejrzeliby pistolety Jasia — nie wystrzelone były. Nie ze swojej broni zginął. Pomodlili się krótko, zabrali broń, a ciało pochowali, pod wykrotem, kamieni na kopiec naniósłszy. A dziewczynie dali poznać, żeby tu siedziała, aż powrócą wieczorem, to ją do wsi zabiorą. Ale gdy wrócili, nie znaleźli jej w tem miejscu na polance, tylko na kopcu z kamieni znaleźli kwiaty leśne.

KONIEC TOMU III.



## SPIS RZECZY

	Str.
Sobek Jaworcarz, jaki honor miał . . . . .	5
O Walku sietniaku . . . . .	31
Jak dziwnego juhasa zatańcowało . . . . .	43
On . . . . .	55
Rosicka . . . . .	71
Pudrasowego Kuby zmartwychwstanie albo jak się dyabeł jak wesz na grzebieniu postawił . . . . .	85
O Zosi Walcakównej . . . . .	95



**WYDAWNICTWA KSIĘGARNI  
J. CZERNECKIEGO W KRAKOWIE.**

---

BIBLIOTEKA NOWELISTYCZNA:

K

- |  |      |
|--|------|
| 1. Maupassant G.: Krwawy rok. Nowele . . . . .                 | 2:10 |
| 2. » » Widma wojny, Nowele . . . . .                           | 2:10 |
| 3. Filochowska H.: Czarne łabędzie, Nowele . . . . .           | 2:10 |
| 4. Sałtykow-Szczedryn: Satyry i powiastki . . . . .            | 2:10 |
| 5. Josse H.: Pogodne obrazki, Nowele . . . . .                 | 2:10 |
| 6. Ożegalska H.: Storczyki, Nowele . . . . .                   | 2:10 |
| 7. Maupassant G.: Historye małżeńskie, Nowele . . . . .        | 2:10 |
| 8. Soplica Ewa: Momenty, Nowele i obrazki . . . . .            | 2:10 |
| 9. Vrchlicky J.: Powiastki ironiczne i sentymentalne . . . . . | 2:10 |
| 10. Awerczenko A.: Suche ostatki, Nowele . . . . .             | 2:10 |
| 11. Poe Edgar. Zdradzieckie serce, Nowele . . . . .            | 2:10 |
| 12. Tetmajer K.: Tryumf, Nowele . . . . .                      | 2:70 |
| 13. » » W czas wojny, Nowele . . . . .                         | 3:—  |
| 14. Zubrzycki T. W.: W szarą godzinę, Nowele . . . . .         | 3:—  |
| 15. Kirkor G.: Miłość, Nowele . . . . .                        | 3:—  |
| 16. Orkan Wł.: Miłość, Nowele . . . . .                        | 4:—  |
| 17. Tetmajer K.: Na skalnem Podhalu I. . . . .                 | 4:—  |
| 18. » » » II, . . . . .  | 4:—  |
| 19. » » » III. . . . .   | 4:—  |
| 20. » » » IV. . . . .  | 4:—  |
| 21. » » » V. . . . .   | 4:—  |
| 22. Pollak J.: Konkury, Nowele . . . . .                       | 4:—  |
| 23. Orkan Wł.: Wesoły dzień, Nowele . . . . .                  | 4:—  |
| 24. » » Na wydaniu . . . . .                                   | 4:—  |
| 25. Konczyński T.: Flirt, Nowele . . . . .                     | 4:—  |
| 26. Asanka Japoł: Uśmiech Sokratesa, Nowele . . . . .          | 4:—  |
| 27. Czeska M.: Eloë, Nowele . . . . .                          | 4:—  |

# POWIEŚCI, POEZYJE, DRAMATY:

K

<b>Brantome:</b> Żywoty pań swawolnych (2 tomy), przełożył Boy . . . . .	12.—
<b>Crebillon:</b> Noc i chwila, przełożył Boy . . . . .	6.—
<b>Gruszecki A.:</b> Przed burzą, Powieść . . . . .	4.—
Na posterunku, Powieść . . . . .	4:80
W kraju palm i słońca . . . . .	2.—
<b>Herbaczewski J. A.:</b> Amen . . . . .	3.—
<b>Konczyński T.:</b> Głód szczęścia, Powieść . . . . .	7.—
Jej romans, Powieść . . . . .	7:20
Marya Leszczyńska, Ilustrowane . . . . .	22.—
„          „          wydanie zbytko-	
wne i poprawne . . . . .	36.—
Nad głębiami, Powieść . . . . .	5.—
Powrót wiosny, Komedia . . . . .	3:50
Smiertelny bieg, Powieść . . . . .	6.—
<b>Marivaux:</b> Komedye, przełożył Boy (2 tomy) . . . . .	7.—
<b>Perfall A.:</b> Grzech, Przekład Cz. Kędzierskiego . . . . .	1:50
<b>Piotrowski A.:</b> Od Bałtyku do Karpat, Bajki z ilustracyami A. Piotrowskiego . . . . .	6.—
<b>Pollak J.:</b> Tadeusz Rejtan . . . . .	15.—
Opowiadanie wiarusa . . . . .	1:50
<b>Rabellais F.:</b> Wielkie a nieocenione kroniki . . . . .	1:20
<b>Rousseau J. J.:</b> Wyznania I. przełożył Boy . . . . .	6:30
„          II. w druku . . . . .	—.—
„          III.          „ . . . . .	—.—
<b>Tetmajer K.:</b> Anioł śmierci, z ilustr. P. Stachiewicza (w druku) . . . . .	—.—
Erotyki . . . . .	8.—
Judasz, Tragedya . . . . .	6.—
Koniec Epopei, Epilog . . . . .	6.—
„          „          ilustrowane (w druku)	—.—
Na Skalnem Podhalu I. . . . .	4.—
„          „          II. . . . .	4.—
„          „          III. . . . .	4.—

	K
<b>Tetmajer K.:</b> Ns skalnem Podhalu, IV. . . . .	4.—
"      "      "      V. . . . .	4.—
»On«, z ilustr. A. Piotrowskiego . . . . .	1:50
Poezye wybrane, broszur. . . . .	12.—
»      »      oprawne . . . . .	18.—
Romans panny Opolskiej (w druku) . . . . .	—.—
Tryumf, Nowele . . . . .	3.—
W czas wojny, Nowele . . . . .	2:70
<b>Tetmajer Wł.:</b> Bóg się rodzi, oprawne . . . . .	4.—
Marsz Skrzyneckiego . . . . .	4:50
Opowieść z dawnych lat . . . . .	2:50
Raclawice, Powieść . . . . .	3.—
Silva rerum . . . . .	5.—
<b>Waškowski A.:</b> Błędne drogi, Powieść . . . . .	5.—
<b>Wróblewski K.:</b> Szlakami duszy kobiecej, Powieść (w druku) . . . . .	—.—

## WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE :

1. <b>Żmurko Fr.:</b> przez Wł. Prokescha . . . . .	5.—
2. <b>Tetmajer W.:</b> przez J. Czerneckiego . . . . .	5.—
3. <b>Wodzinowski W.:</b> przez Wł. Prokescha . . . . .	5.—
4. <b>Mehoffer J.:</b> przez M. Samlickiego . . . . .	5.—
5. <b>Kossak W.:</b> przez J. Trepkę . . . . .	5.—
6. <b>Stachiewicz P.:</b> przez J. Trepkę . . . . .	5.—
7. <b>Stasiak L.:</b> przez J. Czerneckiego . . . . .	5.—
8. <b>Piotrowski A.:</b> przez Wł. Prokescha . . . . .	5.—
9. <b>Unierzyski J.:</b> przez Wł. Prokescha . . . . .	5.—
10. <b>Uziembło H.:</b> przez W. Mitarskiego . . . . .	5.—
11. <b>Karpiński A.:</b> przez Dra Kleina . . . . .	5.—
12. <b>Chełmoński J.:</b> monografia przez A. Piotrowskie- go (w druku) . . . . .	—.—
<b>Stachiewicz P.:</b> Boży rok. Dwanaście barwnych ilu- stracyi w tece . . . . .	26.—

## HISTORIA, SZTUKI PIĘKNE :

<b>Cercha St. i Kopera F.:</b>	Nadworny rzeźbiarz króla Zygmunta Starego Giovanni Cini z Sieny i jego dzieła w Polsce, 112 ilustr.	10.—
<b>Ks. Dr. T. Kruszyński:</b>	Stary Gdańsk i historia jego sztuki . . . . .	6.—
	Dzieje sztuki starochrześcijańskiej . . . . .	27.—
<b>Stasiak L.:</b>	Przewodnik ilustrowany po Krakowie, jego kościołach, pałacach, muzeach, murach miejskich i starożytnych domach .	1:50

## B A J K I

ILUSTROWANE PRZEZ W. PIOTROWSKIEGO :

I.	<b>Piotrowski A.:</b>	O szewczykowej duszyczce . .	1.—
II.	»	O takim dziadu, co się z królową ożenił . . . . .	1.—
III.	»	O takim, co rozumiał, jak zwierzęta gwarzą . . . . .	1.—
IV.	»	O wilczku . . . . .	1.—
V.	»	O starym psie, osłe, kocie i kogucie . . . . .	1.—
VI.	»	O babie, co ozora za zębami utrzymać nie umiała . . . . .	1.—
VII.	»	Nosił wilk, ponieśli wilka . . .	1.—
VIII.	»	Zła żona . . . . .	1.—
IX.	»	O skowronku, krecie, wilku i psie . . . . .	1.—
X.	»	O chłopie, co dyabła oszukał .	1.—
XI.	<b>Tetmajer K.:</b>	„On“ (o niedźwiedziu) . . . . .	1:50
XII.	»	„On“, z ilustracyami M. Łuszczkiewiczza . . . . .	1:50
XIII.	<b>Orkan Wł.</b>	Lis (w druku) . . . . .	—